



PATRICIA WILSON



*Zaproszenie
do Kornwalii*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Żałuję, że to zrobiłaś, Esther. - Sophie Grant oderwała wzrok od listu, który trzymała w ręce i posłała przyjaciółce spojrzenie pełne wyrzutu. - Wiem, że nie mam wyjścia: albo przyjmę tę ofertę, albo wyląduję na ławce w parku. Zastanawiam się jednak, czy to dobry pomysł godzić się na propozycję, która wynika zapewne tylko z grzecznościowego zainteresowania. Ostatecznie, prawie nie znam tego człowieka...

- On naprawdę chce wiedzieć, co się z tobą dzieje - rzekła stanowczo Esther. - Byłaś chora, więc musiałam wziąć sprawy w swoje ręce i powiadomić go. Martwiłam się o ciebie... List od prawnika przyjąłam z uczuciem ulgi.

- Och, z pewnością to wielkie szczęście, że mogę do kogoś pojechać... - Sophie zamilkła, a Esther rzuciła jej wymowne spojrzenie.

- Za godzinę zaczynam dyżur, więc muszę już się zbierać, proszę cię jednak, dłużej nie zwlekaj - nalegała, sięgając po płaszcz. - Sam zaproponował, abyś przyjechała, a to pewna różnica. On w końcu jest twoim wujem.

- Nic podobnego! - zaprzeczyła Sophie. - Dobrze wiesz, że wcale nim nie jest! Matthew Trevelyan w ogóle nie jest moim krewnym. To przyrodni brat ojca, a ja widziałam go tylko raz w życiu, gdy miałam trzynaście lat i zrobił wówczas na mnie okropne wrażenie... Szczerze mówiąc, bałam się go. Z pewnością teraz mnie nie przestraszy - dodała, zmarszczywszy brwi. - Byłam wtedy wrażliwą nastolatką, i pamiętam, że zadziwił mnie bardzo ciemny kolor jego włosów. Mama nazywała go Czarnym Kornwalijczykiem.

- To na pewno nie miało nic wspólnego z jego charakterem - wtrąciła pocieszająco Esther.

Sophie podniosła na nią swe ogromne fiołkowe oczy i uśmiechnęła się szeroko.

- Możliwe, że wiedziała o nim coś więcej... Zorientowałam się szybko, że z jakiegoś tajemniczego dla mnie powodu nie lubiła ani Matthew Trevelyana, ani jego żony...

- W porządku - westchnęła Esther. - Nie musisz decydować się jeszcze w tym tygodniu. A teraz skończ śniadanie i spróbuj zasnąć. Porozmawiamy o tym dziś wieczorem i może wymyślimy coś lepszego, zgoda?

Sophie przytaknęła z uśmiechem, ale gdy tylko Esther się odwróciła, ponownie przebiegła wzrokiem list od prawnika i znów się zasepiła. Dobrze wiedziała, że nie ma żadnej alternatywy. Jeśli odrzuci zaproszenie swego przyszywanego wuja, za niespełna dwa tygodnie wyląduje na bruku.

Sytuacja nie wyglądała różowo. Na domiar złego Sophie przebyła ostatnio złośliwą odmianę grypy, po której wywiązały się komplikacje, i czuła się jeszcze ciągle bardzo osłabiona i bezradna - całkiem niepodobna do siebie, osoby zazwyczaj stanowczej i przedsiębiorczej. Akurat teraz straciła pracę, ponieważ jej firmę postawiono w stan likwidacji. Skromne osiedle, w którym mieszkała od trzech lat, miało zostać zburzone i zastąpione nowoczesnym centrum handlowym i parkingiem. Esther, która była pielęgniarką, do czasu swego zamążpójścia zamierzała mieszkać w służbowym hotelu, ale Sophie nie miała dokąd się wyprowadzić.

Od dawien dawna sama starannie planowała swe życie i teraz była zupełnie ogłuszona, jak szybko, bez jej wiedzy i woli, wszystko legło w gruzach. Oparła się o poduszki i przymknęła oczy, ale sen nie przychodził. Wróciła myślami do wydarzeń sprzed czterech lat, gdy powiadomiono ją o śmierci rodziców.

Oboje byli archeologami. Prowadzili wykopaliska w Afryce, gdy nagle osunięcie się ziemi w głębokim wykopie zabiło ich oboje na miejscu. Sophie przeżyła wówczas szok, ale ból i rozpacz nie zdołały jej załamać, być może dlatego, że nigdy nie była z rodzicami bardzo blisko. Właściwie odnosiła w dzieciństwie wrażenie, że była dla nich zawadą... Wychowywała się w szkol-

nych internatach, a rodziców widywała jedynie podczas wakacji, na które wracali do Anglii, jak jej się zdawało, dość niechętnie. Nie posiadali nawet w Anglii własnego domu.

Obydwoje byli przede wszystkim naukowcami. Sophie nie dostrzegała w ich wzajemnych stosunkach żadnych oznak miłości, czułości czy ciepła. Pracowali razem, podziwiali swe naukowe osiągnięcia i rozmawiali wyłącznie na tematy zawodowe, Sophie zaś pozostawiając samej sobie. Czasami zastanawiała się, rozżalona, jak to się stało, że w ogóle pojawiła się na świecie.

I nagle, gdy miała zaledwie osiemnaście lat, została całkiem sama. Prawnicy wezwali ją wówczas do Londynu, by odczytać krótki, rzeczowy testament rodziców. Podkreślono w nim na wstępie, że otrzymała doskonałe wykształcenie, które kosztowało ogromnie dużo pieniędzy. Pozostałe pieniądze zostały przeznaczone również na jej edukację, pod warunkiem wszakże, że rozpocznie studia na uniwersytecie i to na określonym kierunku: archeologii, antropologii, względnie historii starożytnej.

Sophie zareagowała na te warunki wybuchem wściekłości. Przyszłość jej została więc zaplanowana, ukartowana w tak samo chłodny, bezduszny sposób jak całe jej życie! Rodzice nigdy nie starali się poznać jej pragnień, nie usiłowali dotrzeć do jej serca. Czowała się głęboko rozczarowana i upokorzona, że tak autorytatywnie podjęli za nią życiowe decyzje.

Wpadła w furię i nie potrafiła się opanować nawet wtedy, gdy prawnik kilkakrotnie podkreślał, że jeśli nie spełni oczekiwań rodziców, nie dostanie żadnych pieniędzy aż do skończenia trzydziestu lat. Sophie nie przyjęła zawartych w testamencie warunków, wróciła do szkoły, spakowała manatki i wyjechała do Londynu, aby rozpocząć życie na własny rachunek.

Miała dopiero osiemnaście lat, była zdrowa, zdolna, sądziła więc, że znalezienie pracy nie powinno stanowić problemu. Na uniwersytet zamierzała wstąpić dopiero wówczas, gdy sama nabierze na to ochoty. Wolna jak ptak, upajała się własną wolnością. Ból po stracie rodziców i rozczarowanie ich

decyzją pogrzebała w sercu na zawsze. Co więcej, postanowiła nigdy nie skorzystać z ich pieniędzy, a gdy nadejdzie odpowiedni czas na studiowanie, postara się o stypendium.

Wtedy po raz pierwszy otrzymała list od Matthew Trevelyana. Napisał do niej z Ameryki, gdzie dotarła do niego wiadomość o śmierci przyrodniego brata. Pragnął poznać plany Sophie na przyszłość, ona jednak poprzez swojego prawnika odpowiedziała, że sama doskonale da sobie radę. Bała się jak ognia, że ktoś znów zacznie nią manipulować. Życie należało do niej i chciała je przeżyć na własny rachunek. Napawała się poczuciem własnej siły i buntowała przeciw każdemu, kto usiłował narzucić jej swe zdanie.

W ciągu minionych czterech lat usamodzielniała się, dojrzała wewnętrznie i dziś gotowa była się ustabilizować. Zapewniła sobie miejsce na uniwersytecie oraz stypendium, które uzyskała po długich staraniach. Naukę miała rozpocząć we wrześniu - za sześć miesięcy. Tymczasem jednak pech chciał, że się ciężko rozchorowała, straciła pracę i mieszkanie...

Wtem - ni stąd, ni zowąd - otrzymała kolejny list. Po czterech latach spędzonych w Ameryce Matthew Trevelyan powrócił do Kornwalii, i chciał się dowiedzieć, co słyhać u Sophie. List nadszedł akurat wtedy, gdy Sophie była zbyt słaba, by sama nań odpowiedzieć. Wyręczyła ją Esther. Zadzwoiła do adwokata i wyjaśniła sytuację. W krótkim czasie Sophie otrzymała od Matthew Trevelyana zaproszenie do Kornwalii.

Ta propozycja wywołała u niej kontuzję i wstyd. Miała prawie dwadzieścia trzy lata, nie była dzieckiem, które potrzebowało opieki. A mężczyzny, który ją tak serdecznie zapraszał, właściwie wcale nie znała. Był tylko wspomnieniem z odległej przeszłości, w dodatku bardzo niepokojącym wspomnieniem... Cóż miała począć? Wydawało się, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Sophie nie musiała opowiadać Esther o Matthew Trevelyanie. Na półce w bibliotece stało kilka jego książek, wystarczająco wiele mówiących o ich

autorze. Pierwszą z nich Sophie kupiła w przyływie ciekawości, widząc ją na wystawie z bestsellerami, ale już następne kupowała dlatego, że ta pierwsza okazała się fascynująca.

Na dużej fotografii zamieszczonej z tyłu na okładce jednej z jego książek wyglądał inaczej, niż go zapamiętała... Cóż, widziała go właściwie w przelocie. To było bardzo krótkie spotkanie, miała wtedy nie więcej niż trzynaście lat, gdy pojechała wraz z rodzicami na jego ślub. Właściwie była z góry doń uprzedzona, ponieważ z jakichś powodów matka nie lubiła Matthew Trevelyana...

Sophie wstała z łóżka, przeszła na drżących nogach do biblioteki i sięgnęła po jedną z jego książek, a potem wróciła do sypialni i ciężko opadła na poduszki ze wzrokiem utkwionym w zdjęcie na tylnej obwolucie. Wiele razy przyglądała się tej fotografii. Matthew Trevelyan sprawiał na niej wrażenie człowieka surowego i bezkompromisowego. Książkę tę kupiła dwa lata temu. Prawdopodobnie dziś Matthew Trevelyan wyglądał jeszcze groźniej...

Esther nie przeczytała żadnej jego książki. Wystarczyło jej obejrzenie filmu na podstawie jego scenariusza. Film tak ją przeraził, iż uznała, że przeczytanie książki kosztowałoby ją jeszcze więcej zdrowia.

Sophie musiała przyznać, że była to dobra literatura - fascynująca nawet, zajmująca czytelnika, choć tematyka powieści Matthew Trevelyana była dziwnie mroczna, ponura i złowroga. Autor tych powieści miał szczególny dar doprowadzania zwyczajnych spraw i sytuacji do możliwie najgorszych i najdziwniejszych zakończeń. Jego pisarstwo, poruszające i przygnębiające zarazem, było bardzo udziwnione, balansowało na granicy prawdopodobieństwa. Sceny erotyczne, momentami nazbyt naturalistyczne, uznała wręcz za niesmaczne.

Lekki uśmiezek zagościł na ustach Sophie, gdy ponownie zerknęła na fotografię Czarnego Kornwalijszyka. Zaczynała teraz rozumieć, co jej matka miała wówczas na myśli... Matthew Trevelyan miał nie tylko czarne włosy, ale także czarną duszę: złośliwą, okrutną i lekko zdeprawowaną. Te cechy

malowały się wyraźnie na jego pociągłej, surowej twarzy i to one sprawiły, że mała wówczas Sophie zachowała się tak samo jak jej matka - nawet się nie uśmiechnęła, gdy jej go przedstawiano.

Co on sobie wtedy pomyślał? Pewnie uznał ją za nierozgarniętą. A może w ogóle nie zwrócił na nią uwagi? Ostatecznie był to dzień jego ślubu. Sophie doskonale pamiętała Delphine Trevelyan. Ciekawe, jak wygląda teraz, dziewięć lat później, piękna żona Matthew Trevelyan? I jak ją przyjmie? A jak ona będzie się tam czuła w roli tymczasowego gościa? Sophie pocieszała się w duchu, że jej wizyta w Kornwalii nie potrwa dłużej, niż to będzie absolutnie konieczne.

Po raz ostatni spojrzała na fotografię mężczyzny, pod którego gościnnie dach miała niebawem zawitać. Nie musiała czytać umieszczonej pod zdjęciem krótkiej notki biograficznej. Dobrze wiedziała, że przyrodni brat jej ojca najpierw był dziennikarzem w jednej z wziętych londyńskich gazet, by potem w wieku dwudziestu ośmiu lat porzucić tę pracę i całkowicie poświęcić się pisaniu powieści. Ile teraz miał lat? Trzydzieści cztery? Może trochę więcej... Ojciec był przecież starszy od swego przyrodniego brata o dwanaście lat.

Oczy Matthew spoglądały na nią z posępnej twarzy tak stanowczo i bezwzględnie, że miała ogromną ochotę odłożyć książkę z powrotem na półkę. Miał intrygującą twarz - pociągłą, wyrazistą, inteligentną. Dobrze pamiętała jego czarne jak smoła włosy i oczy - dziwne, bursztynowe oczy... Podczas wesela zauważyła w nich jakieś groźne, ostre błyski. Och, kimże był, jeśli nawet w dniu własnego ślubu nie potrafił wykrzesać z siebie odrobiny radości?

Z wolna, jakiś bliżej nie sprecyzowany niepokój zaczął ogarniać jej umysł i ciało. Musi się szybko pozbierać. To tylko pół roku, pocieszała się. Zaledwie sześć miesięcy - od marca do września. A później przy odrobinie szczęścia poradzi już sobie sama, bez niczyjej pomocy. Znów stanie na własnych nogach.

Kilka dni później odwiedził ją Andrew Norton. Gdy usłyszał o jej zamiarach, zrobił się ponury jak gradowa chmura.

- Ależ, Sophie, nie zobaczymy się całe wieki! - zaprotestował. - Do Kornwalii jest straszliwie daleko. Nie możesz tam jechać tylko dlatego, że adwokat przekazał ci zaproszenie od twego wuja!

- Prawdopodobnie to jedyna oferta, jaką otrzymam - stwierdziła posepnie.
- Wielkie szczęście, że w ogóle ktoś się mną zainteresował. Cóż, po prostu Matthew bardzo lubił mojego ojca. Ale nie martw się, na pewno po jakimś czasie będę mogła zaprosić cię na weekend.

Czuła, że usiłuje przekonać samą siebie i zagłuszyć wewnętrzny niepokój. Potrzebowała pociechy, ale nikt nie mógł jej pocieszyć.

Matthew Trevelyan robił na niej równie odpychające wrażenie, jak na Esther i Andrew. Obydwoje z niechęcią przyglądali się jego fotografii.

- Dlaczego nie nazywasz go wujem Matthew? - spytał podejrzliwie Andrew.

- Ponieważ nim nie jest. W ogóle nie jest moim krewnym.

- To wszystko wygląda dwuznacznie - zawyrokował. - Wietrzę w tym jakiś podstęp. Nie jedź tam! Nie podoba mi się wygląd tego... hmm... wuja Matthew. A gdy wyjedziesz tak daleko, nie będę mógł się tobą opiekować - dodał z patosem.

Sophie skwitowała te słowa uśmiechem. Dotychczas nie potrzebowała nikogo do obrony. Mimo smukłej, wiotkiej sylwetki uważała się za osobę bardzo silną i wytrzymałą. Teraz znalazła się w sytuacji dla siebie nietypowej: czuła się tak słabo, że większość dnia musiała spędzać w łóżku. Ale nie mogła obarczać swą osobą przyjaciół. Nie mieli czasu ani możliwości, by się nią opiekować. A Matthew Trevelyan zaofiarował się sam...

Och, to prawda, że Andrew będzie za nią tęsknił, przynajmniej na początku. Od ponad roku się przyjaźnili i Andrew, jak się zdawało, nawet porzucił dla niej wszystkie inne dziewczyny. Studiował jednak i nauka zajmowała mu dużo czasu, a właśnie zbliżały się końcowe egzaminy. Nie, z

pewnością nie będzie długo usychać z tęsknoty. Był wystarczająco atrakcyjny, by zainteresować sobą niejedną dziewczynę.

- Pobierzmy się! - wypalił gorączkowo, ale Sophie roześmiała się w głos.

- Czyżby to miało być tymczasowe rozwiązanie moich problemów? - zażartowała.

- Może nam się spodoba i przedłużymy ten układ - powiedział poważnie Andrew.

Sophie nadal się uśmiechała. Być może wyjazd okaże się całkiem dobrym pomysłem. Andrew należał do mężczyzn, którzy lubili się popisywać i czasami występowali z fantastycznymi, rycerskimi propozycjami, ale gdzieś na samym dnie jego oczu dostrzegała niepokojące błyski zazdrości. Och, czasami nawet robił jej sceny! Ona zaś nie żywiła doń głębszych uczuć. Był jedynie przyjacielem - i przyjacielem miał pozostać.

Tydzień później Sophie siedziała w pociągu ekspresowym, który z oszałamiającą prędkością przynosił ją na zachód od Anglii. Przed oczami migały jej coraz to nowe fragmenty krajobrazu, ale była w tak ponurym nastroju, że zdawała się niczego wokół nie dostrzegać. Po tylu latach nareszcie dopadły ją wyrzuty sumienia. Doszła do wniosku, że gdyby wówczas po śmierci rodziców opanowała złość i ból - dziś nie znalazłaby się na łasce człowieka, którego właściwie nie знаła.

Dlaczego nie przystała na warunki postawione przez rodziców? Przecież później mogła z łatwością zmienić kierunek studiów, i teraz kończyłaby uniwersytet, zamiast umykać w nieznane przed katastrofalną sytuacją.

Odpowiedź nie była dla niej tajemnicą. Zawsze wiedziała, dlaczego uraza, ukryty ból i poczucie całkowitej samotności, które towarzyszyły jej przez całe życie, stały za tym wyborem. Dziś po raz pierwszy żałowała, że nie poszukała innego rozwiązania... I na co jej teraz przyszło? Matthew Trevelyan nawet nie zwrócił się do niej osobiście. Zatelefonował do adwokata i za jego

pośrednictwem zaoferował jej tymczasowe schronienie. Nie miała jednak wyboru... Musiała chwilowo gdzieś zamieszkać i potrzebowała pomocy.

Mecenas Brown z kancelarii Wellington i Brown doradzał wyjazd do Kornwalii. Zapewniał, że później sprawy potoczą się własnym biegiem. Uwierzyła mu, ale czy postąpiła słusznie? Tak czy owak, jechała do Kornwalii i było już za późno na zmianę decyzji, zwłaszcza że nadal czuła się niewiarygodnie słabo.

Mocno zacisnęła powieki i przywołała w pamięci obraz mężczyzny, któremu jechała na spotkanie. A jeśli jego propozycja okaże się całkiem nieprzemyślana? Być może wcale nie znajdzie tam schronienia? Matthew przecież nic o niej nie wiedział; była dla niego zupełnie obcą osobą. Otworzyła oczy i wyjrzała przez okno. Krajobraz stawał się coraz bardziej odludny i dziki... Poczowała ciarki na całym ciele, ponieważ znów ogarnął ją gorączkowy niepokój pomieszany z poczuciem winy i własnej bezradnej słabości.

Gdy pociąg zwolnił przed stacją, wstała i w beładnym pośpiechu zaczęła zbierać swoje rzeczy. Miała sporo bagażu: kilka walizek i sporo pudeł z książkami. Krótko mówiąc - cały swój dobytek. Zastanawiała się, jak na to zareaguje Matthew Trevelyan. Na razie musiała wynieść rzeczy z wagonu, a to wcale nie było takie proste...

Po chwili stała na peronie, rozglądając się wokół bezradnie. Nikt nie wyszedł jej na spotkanie, a to mogło oznaczać tylko jedno: została zupełnie zlekceważona! Matthew Trevelyan w ogóle się nią nie przejmował... Ale co zrobi, jeśli on w ogóle nie przyjdzie?

Na stacji pozostało już tylko kilka osób. Sophie poczuła powiew zimnego wiatru przesyconego zapachem morza. Owijając się szczelniej płaszczem, rozejrzała się znów po peronie, i w tym samym momencie napotkała badawczy wzrok kobiety stojącej przy samym wejściu. Kobieta, jakby wyrwana z jakiegoś odrętwienia, poruszyła się nagle i zaczęła zmierzać w jej kierunku.

- Zapewne się nie mylę - odezwała się po chwili. - Ale... czy to ty jesteś Sophriną Grant?

Sophie zeszywniała. Nikt nigdy nie nazywał jej Sophriną. Nie znosiła tego imienia, tak więc w spojrzeniu, które rzuciła nieznajomej, malowała się niechęć.

- Tak - powiedziała. - Czekam tu na kogoś... Udaję się do Trembath.

- Wiem, dokąd jedziesz. - Na twarzy kobiety pojawił się wymuszony uśmiech. - Matt wysłał mnie po ciebie, chociaż... - urwała. - Chyba się trochę pomylił w kwestii twojego wieku.

Przez dłuższą chwilę mierzyła Sophie wzrokiem - jej smukłą sylwetkę, długie nogi w zielonych legginsach i kusy zielony płaszczik obramowany sztucznym futrem. Zieleń podkreślała płomiennorudy odcień jej lekko kręconych włosów, które teraz mieniły się złotem w promieniach popołudniowego słońca. Wszystko to najwyraźniej nie wzbudziło w nieznajomej zachwyty.

- Czy pani jest jego sekretarką? - spytała Sophie rozdrażniona jej świdrującym spojrzeniem. Choć minęło wiele lat, od czasu gdy widziała Delphine Trevelyan, nie miała żadnych wątpliwości, że stojąca przed nią kobieta nie była żoną Matthew. Delphine była jasną blondynką, ta kobieta zaś ciemną brunetką.

- Ależ skądże! - obruszyła się nieznajoma. - Współpraca z Mattem w ogóle nie wydaje się możliwa. Gdy pracuje, przeistacza się w dziką bestię. Cóż, jesteśmy... przyjaciółmi.

Przyjaciółmi! Sophie serce zamarło. A więc - komplikacje! Przemknęło jej przez myśl, co też Delphine sądzi o takiej przyjaciółce swego męża.

- Wszystko, co robię dla Matta, robię wyłącznie z dobrego serca - ciągnęła kobieta. - Nazywam się Eve Corwin... Możesz mi mówić Eve. - Z pewnym ociąganiem wyciągnęła do Sophie rękę.

Sophie podała jej dłoń, z roztargnieniem spoglądając na stertę bagażu u swoich stóp.

- Widzę, że nie potrafisz podróżować bez dużego bagażu - skomentowała Eve lekko poirytowanym tonem. - Mam nadzieję, że pomieścimy się w samochodzie.

- Zostaję tu aż do września - Sophie usiłowała się usprawiedliwić. Nie miała odwagi powiedzieć, że to cały jej dobytek.

- Do września? - Eve uniosła brwi i znów posłała Sophie badawcze spojrzenie. - To przecież całe sześć miesięcy! - Zaciśnęła wargi. - Ciekawe, co sobie Matt pomyśli.

- Zostałam zaproszona. - Sophie nie kryła irytacji. - Jestem pewna, że doskonale wie, czego oczekiwać. - Kipiała z wściekłości, ponieważ kobieta nie przestawała jej się przyglądać. O co jej chodziło? Przecież wyglądała dobrze... Włożyła na tę szczególną okazję najbardziej eleganckie i najmodniejsze rzeczy, jakie posiadała.

- Nie byłabym tego taka pewna - rzekła lodowato Eve, po czym z niechętną miną pochyliła się, by pomóc gościowi zanieść bagaże. - Matt czeka na ważny telefon z Ameryki i sam nie mógł przyjechać na stację - wyjaśniła po chwili. - Spodziewałam się zobaczyć nastolatkę... Musiałaś ostatnio bardzo wyrosnąć - zakończyła sarkastycznie.

- Wyrosłam już dawno temu - odcięła się Sophie. Ale gdy dotarło do niej, dlaczego tu została zaproszona, poczuła przypływ ponurych myśli. Matthew musiał być bardzo pochłonięty pisaniem książek, skoro nie dostrzegał upływu czasu... - On jest przyrodnim bratem mojego nieżyjącego ojca - dodała. - To bardzo szlachetnie z jego strony, że zaprosił mnie do siebie.

- Musiał być myślami całkiem gdzie indziej - mruknęła Eve. - Nie potrafię sobie wyobrazić Matta, by cokolwiek czynił „szlachetnie”. Do jego sposobu postępowania pasuje raczej przysłówek „wściekle”. Musisz być bardzo ostrożna

i uważana, jeśli nie chcesz zbyt szybko wracać z powrotem - ostrzegła Eve, nie kryjąc satysfakcji.

Gdy wyruszały z parkingu pod dworcem, Sophie zerknęła na kobietę siedzącą za kierownicą i dokonała własnej oceny. Twarz Eve Corwin była uderzająco piękna i w dodatku nienagannie umalowana. Nawet na niezobowiązującą wyprawę na dworzec włożyła elegancki granatowy kostium pochodzący zapewne z drogiego domu mody. Wyglądało na to, że Eve zawsze starała się wypaść jak najlepiej, szczególnie w oczach Matthew Trevelyana...

Sophie postanowiła zachowywać się w stosunku do niej z dystansem i nie reagować na wyraźne prowokacje z jej strony. Ostentacyjnie wyglądała przez okno, ale nie mogła podziwiać krajobrazu, ponieważjechały wąską drogą wijącą się wśród wysokich, porośniętych trawą nasypów, na których zakwitwały właśnie pierwsze wiosenne kwiaty.

Gdy dotarły do końca stromego podjazdu, nieoczekiwanie wyjrzało słońce. Sophie wydała ciche westchnienie zachwytu. Widok, który rozpościerał się przed jej oczami był urzekający. Droga opadała teraz w kierunku morza ku wiosce rybackiej malowniczo położonej wokół nabrzeży portu. Woda lśniła w promieniach słońca. Był przyływ, na spokojnej, lśniącej w promieniach słońca, tafli cumowało kilka łódek. To miejsce musiało zauroczyć niejednego malarza.

- Port Withian - oznajmiła Eve, zauważając niemy zachwyt w oczach swej towarzyszki. - Tutaj mieszkam.

- Masz szczęście.

- Być może... Przywykłam jednak do ludnych miast i interesujących ludzi. Nie jestem Kornwalijką.

- Ja też nie - wyznała pochopnie Sophie. Eve obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż twój ojciec i Matt...

- Ani mój ojciec, ani matka nie byli Kornwalijczykami. Urodziłam się w Sussex.

Sophie od razu pożałowała tego wyznania; odniosła wrażenie, że tymi słowami tylko utwierdziła Eve w jakichś niejasnych dla siebie podejrzaniach.

Gdy samochód zjechał ze wzgórza prosto do wioski, Sophie zaczęła się niecierpliwie rozglądać za jakimś domostwem, które mogłoby przypominać Trembath. Ale wokół widziała tylko małe domki, z których żaden nie wyglądał na siedzibę pisarza o międzynarodowej sławie. A przecież adresem Matthew Trevelyana był Port Withian...

Szybko przejechały wioskę, a potem, jadąc nabrzeżem, znów zaczęły się wspinać, aż do miejsca skąd rozciągał się widok na pełne morze. Nie było ono już tak spokojne jak w porcie; mimo że dzień był pogodny, fale rozbijały się z hukiem o skały, nadając pejzażowi dziki, niebezpieczny wyraz. Sophie aż zadrżała, wyobrażając sobie to miejsce podczas sztormu. Po przeciwległej zaś stronie rozciągał się bezkresny ląd - pusty, jakby złowrogi i całkiem obcy jej wyobraźni. Dziwnie niespokojna atmosfera tego miejsca przypominała jej wyraz oczu Matthew Trevelyana w dniu jego ślubu; dostrzegła w nich wówczas twórczy natłok myśli oraz rosnącą, acz usilnie hamowaną irytację... To wspomnienie pogłębiło tylko jej zdenerwowanie. Kurczowo zacisnęła ręce, żałując, że nie znajduje się gdzieś daleko stąd.

Podróż zmęczyła ją bardziej, niż mogła się tego spodziewać. Znów miała zawroty głowy i marzyła tylko o jednym - filiżance gorącej herbaty i ciepłym łóżku. Doskwierała jej myśl, że będzie musiała przyznać się przed obcym człowiekiem do własnej słabości. Zacisnęła wargi i uznała, że tego nie uczyni. Nie wyjawi prawdy o swoim zdrowiu. Poradzi sobie jakoś... Zawsze dawała sobie radę.

Dopiero gdy dotarły na szczyt wzgórza, na wysuniętym w morze cyplu ujrziała dom. Stał dumnie frontem do morza, a w jego potężnej sylwetce było coś wyzywającego wobec sił natury. Przed domem rozciągał się trawnik, z tyłu zaś kępy drzew i krzewów łagodziły ostre zarysy fasady.

Widok domu ją poruszył; czuła, jak wezbraną falą ogarnia ją strach i podniecenie, i szaleńczo zapragnęła, by minęły ten dom, aby nie była to posiadłość Matthew Trevelyana! Ale w głębi serca, instynktownie, wiedziała, że zbliżały się oto do celu podróży...

- Oto i posiadłość Trembath - powiedziała Eve. - Jesteśmy na miejscu.

Przyjęła ten komunikat bez zaskoczenia, po prostu przyglądała się z zaciekawieniem wielkiej, potężnej budowli o surowych, kamiennych ścianach i długich gotyckich oknach wyglądających na morze. Zbliżały się ku domostwu szerokim podjazdem osłoniętym wysokimi rododendronami, które w tym roku jeszcze nie rozkwitły. Szpaler rododendronów ciągnął się wzdłuż domu, chroniąc przed ostrymi podmuchami wiatru drzewa i krzewy porastające tyły posesji, a ich rozłożyste liście dodawały surowego piękna temu miejscu.

- Czy wiesz, co oznacza Trembath po kornwalijsku? - spytała Eve, przyglądając się wyrazowi twarzy Sophie. - To miejsce przeznaczone na grób... Brzmi niezbyt zachęcająco, prawda?

- Raczej podniecająco - odrzekła Sophie, starając się pokryć zuchwałością własny niepokój. - Podoba mi się tu... Jest w tej budowli jakaś pierwotna surowość harmonizująca ze wzburzonym morzem i pochmurnym niebem. Tak, teraz rozumiem, dlaczego pisarz chciał tutaj zamieszkać.

- Wiem, dlaczego Matt tutaj zamieszkał - burknęła Eve, najwyraźniej rozczarowana, że słowa jej nie skłoniły Sophie do natychmiastowego odwrotu. - Tutaj się urodził. Och, powinien żyć w Londynie... Czasami myślę, że mieszka tu ze zwykłej przekory, na złość wszystkim!

Sophie posłała jej baczne spojrzenie, ale Eve zdążyła już ukryć uczucia pod maską kamiennej obojętności. Nienagannie umalowana twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, tylko mocno zaciśnięte usta świadczyły o niedawnym wzburzeniu. Sophie poczuła wyraźną ulgę, że nie usłyszy już od Eve żadnych dalszych wynurzeń. Nie chciała niczego słuchać: ani złowieszczej interpretacji

nazwy tego domostwa, ani opowieści o jej dziwnym właścicielu... W słowach Eve wyczuwała niechęć i irytację.

Zacisnęła mocniej ręce na kolanach. Och, powinna zapomnieć o tym dziwnym zaproszeniu i jeszcze dziś wrócić do Londynu! Nawet perspektywa wylądowania na londyńskim bruku nie wydawała się teraz przerażająca.

Instynktownie wiedziała, i wiedziała to od dawna, że Matthew Trevelyan w rzeczywistości nie chciał jej widzieć. Owszem, zapewne lubił jej ojca - ale to wszystko. Tak naprawdę nic go nie obchodziła.

Gdy zatrzymały się przed frontowymi drzwiami, nikt nie wyszedł im na spotkanie. Eve z nienaturalnym wigorem zaczęła wypakowywać bagaże Sophie z samochodu.

- Niezbyt uprzejme powitanie, nieprawdaż? - Eve rzuciła jej spojrzenie pełne nie skrywanej satysfakcji. - Matt na ogół lekceważy ludzi. Musisz do tego przywyknąć. - Wspięła się na schody i sama otworzyła ciężkie drzwi.

Przestronny hol był pusty. Kilka par drzwi wiodących do pokoi było zamkniętych, a w głębi widniały białe schody prowadzące na piętro. Na wyfroterowanej podłodze tańczyły kapryśne promyki słońca. Sophie, mimo że rozpaczliwie pragnęła usiąść, stała w miejscu wystraszona i stremowana. Gdy Eve z wyrazem poświęcenia na swym pięknym obliczu odwróciła się, by wnieść pozostałe walizki, drzwi od jednego z pokoi otworzyły się i stanął w nich gospodarz domu.

W ogóle się nie zmienił. Wyglądał tak samo jak na fotografii, tak samo jak Sophie pamiętała go z dzieciństwa. A jednak... A jednak dziś dostrzegła w nim coś niepokojąco innego. Dziś patrzyła nań oczami dorosłej kobiety - i to z niezrozumiałych względów ją przerażało.

Zresztą już sam jego wygląd sprawiał, że można się było wystraszyć.

Matthew Trevelyan był mężczyzną wysokim, miał szerokie ramiona i wąskie biodra, a w ruchach coś elastycznego, jakiś zwierzęcy wdzięk, którego oczy nastolatki wiele lat temu nie zarejestrowały. Tylko twarz była taka sama -

ponura, inteligentna, przykuwająca uwagę. Dominowały w niej oczy - dziwne, drapieżne oczy połyskujące bursztynowymi cętkami - podobne do oczu polującego kota. Były czujne, płonęły ożywieniem i odrobiną wyrafinowanego okrucieństwa. Na widok Sophie źrenice mu rozblęły, a potem zwęziły się, gdy począł uważnie jej się przyglądać.

- Sophrina? - Uniósł brwi, nie kryjąc zaskoczenia.

- Sophie - poprawiła go stanowczo. - Nikt nie nazywa mnie Sophrina.

Och, chyba powinna inaczej zacząć...

Zacisnęła wargi z desperacją. Nie miała pojęcia, jak się do niego zwracać. Przecież nie był jej wujem i dopiero teraz uświadomiła to sobie z całą wyrazistością. Andrew miał rację, twierdząc, że przyjeżdżając do Trembath postawi się w dwuznacznej sytuacji... Nie była w domu swego krewnego. A więc, na Boga, do kogo przyjechała? Nie powinna jednak korzystać z tego kurtuazyjnego zaproszenia... Być może nawet liczył, że nie otrzyma od niej odpowiedzi... Zaczynała nabierać przekonania, że wyszła na osobę, która rzuciła się jak pazerny szakal na pierwszą z brzegu propozycję.

A co gorsza, ten mężczyzna wywierał na niej dziwne, trwogą przejmujące wrażenie. Gdy była dzieckiem, automatycznie Umieściła go w wiekowej grupie ojca... Teraz zrozumiała swój błąd. Matthew Trevelyan był nadal młodym, pełnym życia mężczyzną - i w dodatku nie łączyły go z jej ojcem żadne więzy krwi!

Oglądanie choćby i tysiąc razy jego fotografii nie mogło jej przygotować na to spotkanie. Matthew Trevelyan roztaczał wokół siebie atmosferę skupionej siły, błyskotliwej inteligencji i jakiejś pierwotnej, dzikiej zmysłowości. Działał jak magnes, przed którym trudno było się cofnąć...

Rozumiała teraz, dlaczego Eve nadal ociągała się z odejściem i pragnęła, całym sercem pragnęła, by Delphine Trevelyan pojawiła się wreszcie w holu i wybawiła ich wszystkich z opresji.

- Wybacz mi - odezwał się Matthew. - Musiałem stracić poczucie czasu.
Ojciec nazywał cię kiedyś Sophriną.

- Gdy byłam za mała, żeby protestować - oświadczyła drżącym głosem.

- Widzę, że jesteś już wystarczająco dorosła - mruknął niewyraźnie,
przesuwając wolno swymi bursztynowymi oczami po jej smukłym ciele. -
Zadziwiające podobieństwo rodzinne - wymamrotał. - Rude włosy i fiołkowe
oczy. Tylko że oczy Quentina nie były tak... tak wyraziste jak twoje...

- Czyżbyś nie pojmował, że małe dziewczynki mają zwyczaj dorastać? -
rzuciła zjadliwie Eve.

- Jak widać, nie. - Znow poślął Sophie przenikliwe spojrzenie. - Cóż,
wypada otrząsnąć się z szoku. Zaniosę twoje rzeczy do pokoju. - Przeszedł przez
hol, otworzył jakieś drzwi i zawołał: - Biddy!

Gdy w holu pojawiła się niska, przysadzista kobieta w średnim wieku,
akurat zadzwonił telefon.

- Zaopiekuj się nią, Biddy - zwrócił się do niej Matthew.

- Odbiorę telefon.

Kiedy zniknął w pokoju i zamknęły się za nim drzwi, Eve Corwin
skierowała się wreszcie do wyjścia. Na odchodnym rzuciła jeszcze Sophie
spojrzenie pełne najwyższej irytacji.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sophie odwróciła się do zarumienionej kobiety, która stała tuż obok z uśmiechem przyklejonym do ust.

- Nazywam się Sophie Grant - powiedziała cicho i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Miło mi panią poznać, panno Grant. Przygotowałam dla pani pokój, choć, szczerze mówiąc, spodziewałam się kogoś znacznie młodszego...

- Zaszło drobne nieporozumienie - rzekła Sophie z łagodnym uśmiechem.

- Pan Trevelyan zapomniał, że poznaliśmy się bardzo dawno temu. Ale proszę nie nazywać mnie panną Grant. Wystarczy Sophie.

- Och, nie wiem, co pan Trevelyan na to powie - zafrasowała się Biddy.

- Jestem pewna, że w ogóle tego nie zauważy - mruknęła Sophie, sięgając po swoje walizki.

Z pewnością nie będzie miał okazji, pomyślała ponuro. W domu panowała kompletna cisza, więc o ile Biddy nie okaże się gadułą, ona sama nie miała zamiaru jej zakłócać. Powinna od razu porządnie zabrać się za naukę. Po czteroletniej przerwie miała mnóstwo do nadrobienia. A jednak nie potrafiła zagłuszyć w sobie niepokoju... Zastanawiała się uparcie, dlaczego Matthew zaprosił ją do Trembath i wreszcie pojęła oczywistą prawdę. Sophie Grant, która utrwaliła mu się w pamięci, była zbyt młoda, aby mieszkać sama! A więc zgodnie ze swym wyobrażeniem zaoferował schronienie nastolatce - dziecku zaledwie. Dlatego przeżył szok, gdy ją zobaczył. Co więcej - wyglądał na mocno zirytowanego...

Ciekawe, dlaczego na całe cztery lata zapomniał o jej istnieniu... Skoro nadal spodziewał się nastolatki, to na ile określił jej wiek, kiedy ostatni raz widział ją na własnym ślubie?

Idąc po schodach za Biddy, westchnęła ciężko, uginając się pod ciężarem bagażu. Och, nie powinna sobie zawracać głowy tym, co sądził kiedyś lub co

sądzi teraz Matthew Trevelyan! Ten dom miał być dla niej schronieniem na krótki czas. Postara się więc zachować dystans wobec gospodarza, a przy każdym spotkaniu będzie odnosiła się doń z uprzedzającą grzecznością. To było jedyne rozsądne wyjście. Jeśli zaś chodzi o jego żonę... Cóż, to całkiem inna sprawa. Sophie nie potrafiła zapomnieć ani zignorować faktu, że jej matka poczuła instynktowną antypatię do Delphine Trevelyan.

- Jesteśmy na miejscu!

Radosny okrzyk Biddy wyrwał Sophie z zamyślenia. Stała oto na progu dużego pokoju, którego okna wychodziły na ogród i na morze. Uderzyła ją jasność i przestrzeń tego wnętrza i nie mogła powstrzymać się od porównania z małym, ciemnym i dusznym pokojem, w którym mieszkała przez ostatnie cztery lata.

- Jaki to piękny pokój! - zachwyciła się. - A z okna widać morze! - Spojrzała przez szybę. - Prawdziwe morze...

- To zawsze był piękny dom - przytaknęła Biddy. - Pamiętam go jeszcze z czasów mej młodości, gdy pracowałam tu jako pokojówka. Ale nigdy nie był to szczęśliwy dom... - Popatrzyła na Sophie i nagle zarumieniła się ze wstydu. - Och, czasami lubię poplotkować. Lepiej już pójdę po bagaże.

Sophie chciała jej pomóc, ale czuła się tak słabo, jakby za chwilę miała upaść. Została więc przy oknie i patrzyła w zamyśleniu na morze.

Dlaczego Biddy powiedziała, że nie był to szczęśliwy dom? Biddy musiała znać Matthew od dawna, być może od samego urodzenia... Dlaczego chciała nadal tu pracować, jeśli nie był to szczęśliwy dom?

Przypomniała sobie stwierdzenie Eve, że Matthew mieszkał tu z czystej przekory. Z przekory wobec losu? Cóż to miało oznaczać? Posepny, intrygujący mężczyzna w tajemniczym domu... w domu napiętowanym przez los... Mężczyzna pełen tajemnic... Może mroczna atmosfera tego domu budziła w nim twórczą wenę? Ciekawe, jak znosiła to wszystko jego żona, a przede wszystkim, jak znosiła stałą obecność Eve Corwin?!

Sophie, podniecona i zaintrygowana, wyszła na schody, żeby pomóc Biddy, ale musiała wyglądać niezbyt dobrze, Biddy bowiem stanowczo zaprotestowała.

- Usiądź lepiej na chwilę - nalegała, przypatrując jej się uważnie. - Z pewnością jesteś zmęczona po podróży. Zaraz przyniosę ci na górę herbatę.

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu... - zgodziła się Sophie słabym głosem.

- Kłopotu? Ależ skądże! Naprawdę z niecierpliwością oczekiwałam twojego przyjazdu. Może uda ci się wnieść trochę radości do tego domu.

- Mieszkasz tu? - spytała zaciekawiona.

- Nie. Mieszkam w Port Withian. Ale przebywam tu każdego dnia od siódmej rano do wieczora.

Kiedy Biddy poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, Sophie wróciła do pokoju i przysiadła na brzegu łóżka. Przymknęła powieki, ponieważ pokój znów zatańczył jej przed oczami. Nadal musiała być jeszcze bardzo słaba... Och, cała sytuacja, jakkolwiek intrygująca, nie wyglądała różowo. Przede wszystkim powinna przywitać się z panią domu, nim na dobre się rozpakuje... Może Delphine wyjechała?

Gdy tak siedziała bezradnie na łóżku, nieoczekiwanie rozległo się pukanie, po czym drzwi się uchyliły i ujrzała w nich głowę gospodarza. Od razu poczuła się nieswojo i szybko - zbyt szybko - poderwała się z łóżka.

Matthew Trevelyan wszedł do pokoju; twarz miał nieruchomą jak kamień.

- Powiedziałem przecież, że wniosę twój bagaż - odezwał się ostrym tonem. - Nie próbuj wnosić reszty rzeczy. Zrobię to sam.

- Biddy mi pomogła - usprawiedliwiła się niepewnie, wykrzywiając twarz w bladym uśmiechu.

Matthew po prostu stał i obserwował ją w skupieniu. Nie można było poznać, o czym myśli; twarz miał nadal nieprzeniknioną. Czarny Kornwalijszczyk... Tylko jego fascynujące oczy zdawały się płonąć żywym ogniem. Czowała, że roztapia się pod jego spojrzeniem.

- Nie chciałam sprawiać kłopotu - odezwała się tonem mocniejszym, niż należało.

- Cóż za ulga! - Wykrzywił sarkastycznie usta i uniósł brwi. - Czy dopiero teraz doszłaś do tego wniosku, czy też przyjechałaś tu już z tym szlachetnym zamiarem?

Czuła, że jej twarz oblewa gorący rumieniec. Jakże mógł być takim złośliwcem! Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie mam zamiaru się naprzykrzać ani nadużywać niczyjej gościnności. Nie mam również zamiaru przeciągać swego pobytu tutaj dłużej...

- ...niż to będzie absolutnie konieczne - dokończył za nią znudzonym tonem. Włożył ręce do kieszeni, oparł się o drzwi, a jego bursztynowe oczy rozjaśniło rozbawienie. - Widzę, że wyrosłaś, Sophie. Wybacz, ale muszę do tego przywyknąć. Zapisalaś mi się w pamięci jako mała dziewczynka i chyba w roztargnieniu źle obliczyłem twoje lata.

- Pisarzom przystoi roztargnienie - powiedziała nieco swobodniej, ale modliła się w duchu, żeby wreszcie przestał jej się przyglądać. - Mam nadzieję, że jakoś tu się pomieszczę. - Zmieniła celowo temat, zerkając wymownie na stos pakunków.

- Rozpakuj się więc i zdecyduj, co ci będzie niezbędnie potrzebne, a resztę rzeczy możemy schować gdzieś w domu - oświadczył.

- Przydałaby mi się biblioteczka albo choćby półka na książki... - podjęła nieśmiało.

- Pomyślimy o tym. - Popatrzył na nią uważnie. - Czy nadal źle się czujesz?

- To tylko zmęczenie - zbagatelizowała. - Biddy przyniesie mi zaraz herbatę... Och, powinnam najpierw przywitać się z twoją żoną.

Zdawało się, jakby zastygł w miejscu i nigdy już nie miał się poruszyć. Przeraził ją wyraz jego ust zaciśniętych w jedną wąską, ponurą linię. Zrozumiała, że powiedziała coś okropnego.

- Moja żona nie żyje od siedmiu lat - rzekł sucho i odwrócił się do wyjścia.

- Tak mi przykro... - Postąpiła za nim krok z bezradnie wyciągniętą ręką. - Nie wiedziałam... Nigdy bym tego nie powiedziała...

- Nie przejmuj się. - Odwrócił głowę i patrzył na nią chłodnymi oczami. - Zginęła w wypadku, gdy byłaś małą dziewczynką. Skąd mogłaś wiedzieć.

- Przykro mi - powtórzyła zdesperowana. - Przypomniałam ci o tym, a przecież nie miałam zamiaru...

- Sophie!

Nawet ostry ton jego głosu nie przywrócił sprzętom właściwych proporcji. Pokój wirował wokół niej coraz szybciej i szybciej, granatowy dywan niebezpiecznie się przybliżył, a postać Matthew odpływała w nieprzyjemną, gęstniejącą mgłę, aż wreszcie zatarła się zupełnie i rozplynęła w nicości.

Gdy odzyskała przytomność, leżała na łóżku, a Matthew, stojąc przy drzwiach, ochryple nawoływał Biddy. Sophie, choć śmiertelnie zmęczona i słaba, była zdumiona niepokojem, jaki usłyszała w jego głosie.

- Leż spokojnie! - nakazał, pochylając się nad nią. - Zaraz przyjdzie Biddy i pomoże ci się rozebrać. - Zaczął zdejmować jej buty, a ona marzyła tylko, żeby wstać i zachowywać się normalnie.

- Nic mi nie jest - protestowała. - To tylko zmęczenie.

- Nie udawaj! - ofuknął ją z wyrzutem. - Twój prawnik powiadomił mnie, że byłaś bardzo chora i widzę, że nadal jesteś. Całe szczęście, że dojechałaś tu, nie zemdlawszy po drodze.

W jego głosie wyczuła złość i to ją przeraziło. Cóż miała powiedzieć? Czowała się okropnym ciężarem i była zupełnie skonsternowana. Popatrzyła z ulgą na Biddy, z rozmachem wchodzącą do pokoju.

- Rozbierz ją i połóż do łóżka - nakazał Matthew. - Idę zadzwonić po lekarza.

- Och, doprawdy nie ma potrzeby... - Uniosła się na łokciach, ale Matthew tylko przeszył ją złym wzrokiem i zamknął za sobą drzwi.

Sophie zaprotestowała jeszcze kilka razy, a potem po prostu poddała się zwinnym dłoniom Biddy.

- Powinnam była sama zauważyć - paplała Biddy. - Ja tu sobie gadu gadu, a ty omal nie upadłaś na schodach. Ciekawe, co o tym powie doktor. Nie wrywaj się! - zniecierpliwiła się, gdy Sophie chciała sama zdjąć bluzkę. - Pan Matthew kazał mi cię rozebrać.

Ciekawe, że Biddy pod wpływem zdenerwowania powiedziała „pan Matthew”, a nie jak zwykle „pan Trevelyan”... To by świadczyło, że znała go od wczesnego dzieciństwa...

Przyjazd lekarza przerwał Sophie te rozmyślania, ponieważ musiała się skupić i opowiedzieć mu historię swojej choroby. Gdy wreszcie wyszedł z pokoju, Sophie ponurym wzrokiem wpatrywała się w drzwi. Och, nie mogła zostać w łóżku i pozwolić, by się nią opiekowano jak małym dzieckiem. Poza tym, któż poza Biddy mógł się nią opiekować? A Biddy wychodziła przecież do domu tuż po kolacji...

Zdesperowana wstała z łóżka i sięgnęła po szlafrok, ale nim zdążyła go włożyć, drzwi się otworzyły i ponownie stanął w nich Matthew. Jego ostre spojrzenie sprawiło, że znieruchomiała.

- Właśnie wstaję... - wyjąkała po chwili, zażenowana z powodu własnego negliżu.

- Niedawno obiecywałaś, że nie będziesz sprawiać kłopotu - przypomniał, wchodząc śmiało do pokoju.

- Dlatego właśnie wstaję - oświadczyła buńczucznie, choć miała trudności z utrzymaniem się na nogach.

- Sprawisz nam mniej kłopotów, jeśli będziesz leżeć w łóżku, tak jak nakazał lekarz, zamiast szwendać się po domu i co chwila mdleć. - Podszedł do niej bez chwili wahania i wziął ją na rękę.

- Wracamy do łóżka, Sophie - oznajmił stanowczo. - Zgodnie z zaleceniami lekarza spędzisz cały dzień w łóżku, a potem będziesz się oszczędzać, aż całkiem wydobrzejesz.

- Byłam wystarczająco zdrowa, by znieść tak długą podróż... - urwała. Ramiona Matthew były ciepłe, silne i czuła się w nich niewiarygodnie bezpiecznie. Mogłaby pozostać w tych ramionach na zawsze...

- Spory zaprowadzą nas donikąd - mówił, kładąc ją na łóżku. - I przestań się wreszcie denerwować tym, że jesteś tu dla kogoś ciężarem. Przecież ja sam zaprosiłem cię tutaj. - Popatrzył na nią poważnie i dodał: - To, że przyjechałaś w nie najlepszym stanie, nie ma żadnego znaczenia.

- Naprawdę nie miałam zamiaru...

- ...być dla mnie ciężarem - znów za nią dokończył. - Wiem o tym. Już to ustaliliśmy. - Odwracając się, zerknął na stos walizek i pudełek piętrzących się na podłodze i dodał od niechcienia: - Przyniosę resztę twoich bagaży, a potem spróbuję je posegregować, osobno odłożę twoje książki i...

- Nie! - zaprotestowała nienaturalnie ostrym tonem. - Chodzi o to, że... - dodała łagodniej - że moje rzeczy są kompletnie pomieszane i muszę sama je posegregować. Nie lubię, gdy ktoś grzebie w moich osobistych rzeczach... Każdy ma prawo do swoich tajemnic...

- A to ciekawe! Tajemniczy James Bond w spódnicy, czy tak? - Patrzył na nią swymi drapieżnymi, kocimi oczami i uśmiechał się jednym kącikiem ust. - Cóż z ciebie za dziwne dziecko, Sophrino.

Wyszedł, a ona patrzyła za nim, zagryzając ze złości wargi. Czuła się urażona i zażenowana zarazem. Nie była już dzieckiem i on doskonale o tym wiedział! Do licha, wyszła na idiotkę, tylko dlatego, że nie chciała, by tracił swój cenny czas na porządkowanie jej książek...

Celowo nazwał ją Sophriną. Gdy na zimno przeanalizowała sytuację, uraza wzięła górę nad zażenowaniem. Kiedy więc Matthew wrócił na górę z resztą jej bagażu, na twarzy Sophie malował się upór i zawziętość.

- Proszę nie nazywać mnie Sophriną - powiedziała rozkazującym tonem, ale w ostatniej chwili nerwy ją zawiodły i zrobiła żalostną minę.

- Obiecuję - zapewnił, a w jego oczach pojawiły się jakieś diabelskie ogniki. - Pod warunkiem wszakże, że przestaniesz udawać nie chcianego, zabiedzonego podrzutka. Zapamiętaj sobie, że w tym domu mieszkał twój ojciec i jego córka jest tu zawsze mile widzianym gościem.

- Ale... ale ja cię w ogóle nie znam... Chodzi o to, że nie jesteśmy spokrewnieni. Nie jestem przecież twoją bratanicą.

- Owszem, nie jesteś, ale łączy nas pewna więź. Twój ojciec wiele dla mnie znaczył... więcej, niż sądzisz. I miałem zamiar się tobą zaopiekować przez pamięć o nim, nawet gdybyś nie okazała się takim interesującym obiektem. - Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu. - Ślaniająca się na nogach dziewczyna z tajemniczą walizką. Który pisarz oparłby się takiemu wyzwaniu? - Uśmiechnął się, przesuwając wzrokiem po jej płomiennie rudych włosach i ciemnofiołkowych oczach, aż zatrzymał się na chwilę na mocno zarumienionych policzkach. - Bajeczny technikolor... Wspaniały materiał pisarski - dodał i wyszedł.

Z furią w oczach popatrzyła na zamykające się za nim drzwi, wreszcie z westchnieniem ulgi opadła na poduszki. Łóżko okazało się najbezpieczniejszym miejscem w tym domu. Gdyby przed chwilą nie zemdląca, musiałaby teraz zjeść kolację z Matthew Trevelyanem - a w tym momencie nie byłaby w stanie sprostać temu zadaniu.

Sophie nie opuszczała łóżka przez całe dwa dni i przez ten czas wcale nie widywała Matthew Trevelyan. Biddy, która opiekowała się nią z zapalem i oddaniem, przed wyjściem przygotowywała dla niej wieczorny posiłek. Matthew nawet nie wsunął głowy do pokoju, żeby choć powiedzieć jej

dobranoc. Sophie doszła więc do wniosku, że właśnie w ten sposób będzie traktowana do końca swego pobytu w Trembath. Matthew Trevelyan postara się ją całkowicie ignorować...

Raz jeden, gdy akurat wychodziła spod prysznic, zastała go w pokoju, ponieważ wnosił tam właśnie biblioteczkę. Odniosła wówczas wrażenie, że zajrzał do środka, stwierdził, że jej nie ma i skorzystał z okazji, aby wślizgnąć się i postawić mebel. Jeśli miał zamiar ją ignorować, nie będzie mu w tym przeszkadzać...

Na trzeci dzień wstała wcześniej, ponieważ poczuła przypływ sił. Gdy schodziła ze schodów, drzwi na dole otworzyły się z rozmachem i Matthew wkroczył do holu. Miał na sobie dżinsy i czarny sweter, a mokry ręcznik zwisał mu na ramieniu.

Wpatrywała się w niego ogromnie zdumiona, stwierdziwszy, że musiał pływać. A przecież morze było niespokojne i wiał bardzo zimny, przejmujący wiatr.

- Witaj, Sophie! - Uśmiechnął się krzywo i rzucił mokry ręcznik na krzesło w holu. - Czujesz się już lepiej?

- Tak - odparła, nadal przyglądając mu się uważnie. - Jak można pływać w taką pogodę! - dodała tonem oskarżenia.

- Zwykle pływam przed śniadaniem. - Zerknął na nią z wyrazem zdziwienia w oczach. - Ciężko wykorzenić stare przyzwyczajenie. Twój ojciec, gdy tylko wzeszło słońce, zbiegał ścieżką wśród skał. Ale - dodał poważnie - odradzam go naśladować. Znał tutejsze fale i prądy, lecz dla nowicjusza wybrzeże w tym miejscu jest bardzo niebezpieczne.

- Obiecuję, że będę się chlapać tylko przy brzegu - powiedziała pojednawczo, przyglądając się jak urzeczona jego lśniącym, czarnym włosom. Powoli docierało do niej, że uważa tego mężczyznę za atrakcyjnego w jakiś przewrotny, perwersyjny sposób...

- Chodźmy na śniadanie! - zachęcił i pomaszerował w kierunku jadalni.

Sophie podążyła za nim, mimochodem zabierając wilgotny ręcznik z antycznego krzesła, na którym zdążył już pozostawić płamę. Pomyślała przy tym, że Matthew traktuje sprzęty wokół siebie w sposób władczy i nonszalancki.

- I co masz zamiar z tym zrobić? - zapytał, otwierając przed nią drzwi.

Zauważyła, że patrzy ze zdziwieniem na ręcznik.

- Ręcznik jest... och, jest mokry - zająknęła się, mocno zażenowana. - Pomyślałam, że zniszczy ten stary, antyczny mebel...

- Nie staraj się zmienić moich obyczajów, Sophie Grant! - burknął, i nim zdążyła zaprotestować, uniósł jej podbródek i skierował twarz ku światłu. - Zapamiętaj, że jeśli zechcę rzucić gdziekolwiek mokry ręcznik, to go rzucę. Biddy od lat je po mnie zbiera. Wkrótce zorientujesz się, że mam jeszcze więcej obrzydliwych nawyków. Nie zwracaj na nie uwagi. Jestem do nich przyzwyczajony.

Jej fiołkowe oczy ciskały błyskawice, wiedziała jednak, że nie może nań krzyknąć, choćby miała na to ochotę.

- Przykro mi - powiedziała potulnie. - Zrobiłam to odruchowo. W przyszłości będę uważać.

Patrzył przez chwilę nieufnie w jej roziskrzone gniewem oczy, a potem uwolnił jej podbródek od uścisku swoich palców.

- Twoje odruchowe działania przyprawia kiedys Biddy o zawał serca - mruknął, wprowadzając ją do jadalni. - Gdy nie znajdzie ręcznika, pomyśli, że się utopiłem.

- No to zaniosę go tam z powrotem! - zaoferowała się szybko.

- Nie bądź taka porywczą! - W jego niesamowitych oczach widniało teraz rozbawienie. - Skądże ci się to wzięło? Quentin był zawsze niezwykle zrównoważony, a twoja matka, rzecz można, zimna jak ryba.

Chciała sprostować, że wychowywała się sama i miała wszelkie możliwości sama kształtować swój charakter. Pragnęła również wspomnieć, że być może jej matka była zimna jak ryba - ale potrafiła wystarczająco gorąco go

nie lubić... Nie odezwała się jednak ani słowem, bo akurat weszła Bidy i postawiła na stole tacę ze śniadaniem. Bez słowa komentarza zabrała mokry ręcznik i wyszła. Matthew nie powiedział również ani słowa i Sophie była mu za to wdzięczna.

Śniadanie wyglądało kusząco. Zabrała się za nie z ochotą.

Dopiero po dłuższej chwili milczenia Matthew odezwał się znów:

- Co masz zamiar dzisiaj porabiać, Sophie?

Ton jego głosu pozostawiał wiele do życzenia; znów był sarkastyczny i protekcjonalny.

- Po pierwsze muszę uporządkować swoje rzeczy. - Posłała mu zimne spojrzenie. - A potem zabiorę się za naukę. Muszę sporo nadrobić do września.

- Nie przemęczaj się tak od razu. Nie zapominaj, że jesteś jeszcze rekonwalescentką. - I dodał po chwili namysłu: - Właściwie, jak masz zamiar się do mnie zwracać?

Ta sprawa, z pozoru drobna, gnębiła ją również. Dotychczas udawało jej się zwracać doń bezosobowo.

- Nie jesteś moim wujem... - oświadczyła lekko zarumieniona.

- Zgoda. To już ustaliliśmy. Myślę, że zwracanie się do mnie „proszę pana” na dłuższą metę byłoby kłopotliwe. Może więc zaczniesz mówić do mnie po imieniu? Większość ludzi nie ma z tym problemu.

Sophie z trudnością przełknęła kęs bułki. Nie wiadomo dlaczego, miała przeczucie, że mówiąc do niego po imieniu, postawi się w słownych potyczkach na z góry przegranej pozycji. Tak czy owak, miał rację. Musiała się do niego jakoś zwracać.

Z niechęcią przypomniała sobie zażyłość, z jaką wymawiała jego imię Eve Corwin, i skrzywiła się z niesmakiem. Cóż, w żadnym razie nie będzie go nazywać Mattem...

- Matthew - powiedziała pod nosem, zerkając nań ukradkiem, ponieważ dłuższą chwilę się nie odzywał, tylko przyglądał się jej z dziwnym półuśmiechem na twarzy.

- Nigdy mnie tak nie nazywano... - zawahał się.

- W takim razie będę mówić do ciebie Matt - przystała z niechęcią, której trudno było nie zauważyć.

- Podoba mi się, jak wypowiedasz imię Matthew tym swoim zduszonym, głębokim głosem - powiedział nieoczekiwanie. - A więc zostaliśmy przy Matthew, zgoda?

Skinęła tylko głową i wróciła do przerwane go śniadania. W gruncie rzeczy była zadowolona, gdy weszła Bidy i zaczęła się krzątać przy stole. Pomyślała, że narobił dużo szumu wokół swego imienia, ale w gruncie rzeczy ona zachowała się tak samo... Zastanawiała się nad jego słowami; nikt przedtem nie powiedział jej, że ma „zduszony i głęboki głos”... Jak tylko wróci do pokoju, zrobi sobie przesłuchanie.

- Myślałem o tobie, gdy leżałaś chora w łóżku - odezwał się ni stąd, ni zowąd, a ona poczuła, że znów ogarnia ją zdenerwowanie.

- Ach, tak... - powiedziała speszona. Oczywiście, że o niej myślał! Zapewne myślał, że będzie dla niego prawdziwym utrapieniem...

- Wiem, że potrzebowałaś pomocy, ale jak do tego doszło? Twoja przyjaciółka, Esther, opisała mi sytuację jako wręcz rozpaczliwą. Co się właściwie stało?

Sophie zagryzła wargę i spojrzała na Matthew z ukosa; na jego twarzy malowały się - o dziwo - spokój, serdeczność i pewien rodzaj życzliwej ciekawości.

- Wszystko zaczęło się od decyzji władz o rozbiórce naszego domu - powiedziała gorączkowo, a Matthew cały zamienił się w słuch. Odłożył nawet sztucę, żeby z uwagą jej się przyglądać. Odniosła jednak wrażenie, że

wykrzywił usta w lekkim uśmiešku, a przecież jej opowieść zupełnie nie była do śmiechu. - Postanowiono zbudować w tym miejscu parking - dodała ponuro.

- Co za pech! - wymamrotał. - I nie zaproponowano wam zastępczego mieszkania?

- Nie. Te domy były przeznaczone do rozbiórki już wówczas, gdy się tam wprowadzałyśmy.

Z jego twarzy zniknął wszelki ślad rozbawienia. To musiało zabrznieć fatalnie... Ale one naprawdę przyjemnie się tam urządziły! Zwłaszcza gdy zapaliło się światło, zamknęło drzwi i nie zwracało uwagi na wilgoć...

- Grozi wam bezdomność?

- To jeszcze nie byłoby najgorsze... W tym samym czasie straciłam pracę. Zredukowano mnie - dodała pospiesznie, ponieważ uniósł pytająco brwi. - W takich okolicznościach nie mogłam pozwolić sobie na wynajęcie mieszkania, zwłaszcza że Esther przeniosła się tymczasowo do hotelu dla pielęgniarek. Ona latem wychodzi za mąż... - Nadal czuła na sobie jego zdziwiony wzrok. - A potem, na domiar złego, zachorowałam na gripę i wywiązały się komplikacje pogrypowe z płucami - dorzuciła jednym tchem, chcąc jak najszybciej zakończyć ten żalony lament.

Matthew oparł się swobodnie o krzesło i obserwował jej twarz. W jego oczach dostrzegła znów isierki lekkiego rozbawienia.

- Czyżbyś urodziła się w środę?

- Nie rozumiem, o co pytasz...

- Widzę, że nie znasz tej dziecięcej rymowanki, która nawiązuje do starych, ludowych wierzeń... Chcesz posłuchać?

- Tak, proszę.

Matthew roześmiał się i zaczął deklamować żartobliwym tonem:

- "Poniedziałkowe dziecię urodą jaśnieje,
wtorkowe czar rozsiewa i dużo się śmieje,
środowemu dziecku los pecha przyniesie,

czwartkowe zaś dziecko długo w górę pnie się.

Piątkowe - kochające, wrażliwe i czułe,

sobotnie zaś ciężko na życie pracuje.

Za to dziecko w niedzielę urodzone

do szczęścia i radości zostało stworzone".

Gdy skończył deklamować, przez chwilę siedzieli w milczeniu, które Matt przerwał, mówiąc ponurym tonem:

- No tak... Musiałaś urodzić się w środę. Dzieci w środę urodzone na nieszczęścia narażone... Czy myślisz, że to twoje pasmo nieszczęść nie będzie miało końca?

- Jak dotąd doskonale dawałam sobie radę - odparła, dumnie unosząc podbródek. Domyślała się, dlaczego tak zaniepokoiły go jej nieszczęścia. Być może sądził, że teraz, kiedy zamieszkała pod jego dachem, to prześladowające ją fatum spadnie także i na niego. - Dotychczas nie prześladował mnie pech - pocieszyła go stanowczo.

- To zależy, co nazywa się pechem - powiedział stłumionym głosem. - Jak wiem, nie wzrastałaś otoczona szczęśliwą, kochającą się rodziną.

- Nie tęskni się za tym, czego się nie miało! - rzekła pospiesznie, choć zdawała sobie sprawę, że kłamie. - Wszystko układało się dobrze... W każdym razie, w normalnych okolicznościach potrafię o siebie zadbać.

- Och, z całą pewnością - przyznał jej rację bez głębszego przekonania. - W najbliższym jednak czasie nie musisz się wysilać. Tutaj jesteś zupełnie bezpieczna.

- Dzięki - wykrztusiła.

Spojrzała na niego spod oka, ale Matthew już na nią nie patrzył. Z nieobecny wyrazem twarzy spoglądał przez okno na morze.

Raz jeszcze uderzył ją jego osobliwy wygląd. Czarny Kornwalijczyk - tak czarny jak jakiś bezlitosny pirat z zamierzchłej epoki. Śniada, posępna twarz pirata... Promienie porannego słońca wydobywały z kruczonych włosów

atramentowoniebieskie refleksy i zmieniały mu kolor oczu na jasnobursztynowy. Wyglądał groźnie - jak kot przyczajony do skoku. Ale ku własnemu zdziwieniu Sophie nie czuła przed nim lęku.

Wróciwszy do swego pokoju, pomyślała, że siedząc w domu, tylko traci czas. Widok morza ją fascynował. Było rozhukane, dzikie i swobodne - przemawiało do jej natury, a być może jej prawdziwa natura też była nieokiełznana? W tym domostwie było również coś gwałtownego i dzikiego - i mimo dominującej osobowości Matthew... czuła się tutaj jak u siebie w domu! Tu przecież mieszkał jej ojciec i babka... Po raz pierwszy w życiu stanęła przed szansą odnalezienia własnych korzeni.

Zapragnęła rozejrzeć się po okolicy, stanąć na szczycie urwiska i popatrzeć z bliska na morze. Wyślizgnęła się więc z pokoju, przemknęła przez hol i, przez nikogo nie zauważona, wyszła na dwór. Na dworze świeciło słońce, znad morza wiała lekka, orzeźwiająca bryza. Sophie skierowała się do ogrodu, który ciągnął się aż do wierzchołka urwiska. Ogród był pięknie utrzymany i zagospodarowany. Wysokie żywopłoty chroniły trawnik przed porywistymi wiatrami. Odwróciła się i spojrzała na dom z prawdziwą dumą i satysfakcją posiadacza. Cóż za kontrast z małym ponurym segmentem położonym pośród ubogich, zaniedbanych uliczek londyńskiego przedmieścia!

Morze przyciągało ją jak magnes; stała już na szczycie urwiska i patrzyła na bezkresną, szarą o tej porze roku taflę wody i białe grzywy fal, a kapryśny wiatr rozwiewał jej rude, lśniące w słońcu włosy. Wzburzone fale napierały na skały z jakąś wściekłą siłą i nawet tu, stojąc tak wysoko, słyszała łoskot, z jakim rozbijały się o brzeg. Rozumiała teraz, dlaczego Matthew zabronił jej pływać...

Wychyliła się do przodu, żeby zobaczyć plażę u stóp urwiska, gdy nagle czyjaś dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i odciągnęła ją do tyłu. Krzyknęła przerażona.

- Co ty wyprawiasz, Sophie! - W głosie Matthew brzmiała wściekłość.

Sophie odwróciła się raptownie i dojrzała gniew i napięcie na jego smagłej twarzy.

- Rozglądam się po okolicy - odpowiedziała zdziwiona.

- Przecież stoisz na skraju przepaści! Jeżeli będę musiał chodzić za tobą cały dzień, żebyś nie nabiła sobie guza... to niczego nie zrobię! Nie napiszę ani jednego zdania!

- Nie prosiłam, żebyś za mną chodził - wykrztusiła słabym głosem.

Bezpowrotnie straciła dobry humor i poczucie, że znajduje się u siebie w domu. Znowu czuła się obca, znów była tu zawadą...

- Miałem czekać, aż spadniesz ze skały? - parsknął.

- Być może będzie lepiej, jeśli wrócę do Londynu - wymamrotała zrezygnowana. - Nie chcę przeszkodzić ci w pisaniu.

- Nie bądźże taka ambitna - odparował. - Nie byłabyś tu przecież, gdybyś miała dokąd pójść.

- Mam jeszcze przyjaciół - burknęła ze złością i odwróciła się na pięcie, ponieważ poczuła w oczach łzy.

- Och, Sophie... - odezwał się łagodnie, z pewnym współczuciem. - Widzę, że na czas twego pobytu będę musiał zmienić obyczaje. - Ujął ją za ramię i poprowadził w stronę ogrodu. - Chodźmy stąd, w ogrodzie jest cieplej... Nie chcę, żebyś myślała, że jesteś tu niepożądanym gościem - podjął miękko, gdy znaleźli się na osłoniętej od wiatru alei. - Gdy cię zobaczyłem na skraju urwiska, doznałem strasznego szoku... Zwłaszcza że masz takie same płomienne włosy... Jesteś bardzo podobna do swojej babki... matki Quentina. - Umilkł na chwilę, a potem dodał cicho: - Spadła ze skał niemal w tym samym miejscu, gdzie ty dziś stanęłaś. Miałem takie okropne wrażenie, że nie zdążę dobiec na czas...

Sophie spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

- W ten sposób zginęła? Matką mojego ojca zabiła się, spadając ze skały?

- Tak. - Matthew zacisnął wargi i z ponurym wyrazem twarzy odwrócił się w stronę domu. - Twoja babka wiele dla mnie znaczyła. Była jedynym promykiem w tym ponurym, przeklętym domu. Proszę cię, nie chodź więcej nad to urwisko, Sophie!

ROZDZIAŁ TRZECI

Sophie stała nieruchomo i patrzyła za Matthew, który wielkimi krokami, jak rozdrażnione zwierzę, oddalał się w stronę domu. Bezwrotnie straciła ochotę na dalszy spacer i zwiedzanie okolicy. Przypomniała sobie wyraz oczu Matthew, gdy opowiadał o śmierci swojej macochy... Dojrzała w nich rozpacz i bezbrzeżną pustkę. Ale skoro wspomnienia sprawiały mu taki ból, dlaczego nadal tu mieszkał? Dlaczego stąd nie wyjechał?

Eve powiedziała, że mieszkał tu z przekory... Cóż by to mogło oznaczać? Och, niczego już nie potrafiła zrozumieć.

Gdy wróciła do swego pokoju, nadal czuła w głowie zamęt. By uspokoić myśli, zajęła się porządkowaniem rzeczy. Wkrótce wszystkie książki stały równo na półkach, a osobiste drobiazgi znalazły swoje miejsce w szufladach. Potrzebowała jeszcze jednej komody, żeby całkowicie się rozpakować. Postanowiła poprosić o nią Matthew podczas kolacji.

Westchnęła, myśląc o kolacji, którą będzie musiała zjeść w jego towarzystwie i sięgnęła po leżącą na wierzchu fotografię matki i ojca. Usiadła na dywanie i przyglądała im się z uwagą.

Rzeczywiście, ojciec miał tak samo jaskraworude włosy jak ona i bardzo podobne, niezwykle fioletowe oczy. Matka zaś była piękna, ale pełna chłodu i odpychającej wręcz rezerwy. Sophie usiłowała sobie wyobrazić ojca, gdy mieszkał w tym domu razem z małym Matthew... Był od swego przyrodniego brata o całe dwanaście lat starszy, ale musiała ich łączyć jakaś więź... Wszystko przedstawiało się niezwykle tajemniczo i dochodziła do wniosku, że nigdy nie

pozna prawdy do końca. A zatem - bardzo prawdopodobne, że znowu popełni jakąś gafę.

Schodząc na dół na kolację, Sophie ciągle rozmyślała o przeszłości swojej i tego domu. Uderzyło ją, że w domu, którego ściany zapewne wiele pamiętały, nie spostrzegła jak dotąd żadnych pamiątek po jego dawnych mieszkańcach.

Trembath... Intrygująca nazwa - intrygujący dom. A wokół równie podniecająca, surowa przyroda.

Zamrugnęła, by usunąć sprzed oczu obraz ciemnej, ponurej twarzy Matthew. Nie zamierzała umieszczać go na liście intrygujących lub podniecających rzeczy, które ją teraz otaczały. Nie potrzebowała kłopotów.

Gdy weszła do jadalni i zobaczyła Matthew, znów ogarnął ją strach. Ze szklanką alkoholu w ręce stał nachmurzony i bez cienia entuzjazmu zmierzył Sophie wzrokiem od stóp do głów. Poczowała niepokój, potem zażenowanie, wreszcie niechęć.

Włożyła wiele wysiłku, żeby wyglądać ładnie. W krótkiej granatowej sukience z kołnierzykiem w białe groszki było jej naprawdę do twarzy, a rude, falujące włosy szczotkowała tak długo, że lśniły teraz jak nowe, miedzianozłote monety. Dlaczego więc patrzył na nią tak, jakby była potworem!

- Napijesz się czegoś, Sophie? - spytał, a ton jego głosu był dziwnie intrygujący; wyczuła w nim jakąś pobłażliwość, jakby przemawiał do dziecka, któremu wolno pić tylko lemoniadę.

Postanowiła odplacić mu pięknym za nadobne.

- Mogę poprosić o lemoniadę? - powiedziała słodkim, przymilnym tonem, on zaś uśmiechnął się rozbawiony.

- Czyżbym cię czymś uraził? - spytał, lekko ściągając brwi.

- Widzę, że jesteś bardzo drażliwa. Nie odziedziczyłaś równowagi ducha po swoim ojcu.

- Najwyraźniej ową drażliwość mam po matce - rzuciła ostro, a Matthew natychmiast przestał się uśmiechać.

- Twoja matka w nieco inny sposób irytowała ludzi - powiedział z ponurą miną. - Miała specyficzne poczucie humoru, które, prawdę mówiąc, mnie nie odpowiadało. - Podał Sophie drinka, który okazał się znakomitą, słodką sherry.

Rozmowa została przerwana, ponieważ w drzwiach pojawiła się Bidy z tacą i musieli szybko zasiąść do stołu.

Sophie nieco zdziwiona, że wspomnienie jej matki wprowadziło Matthew w ponury nastrój, szukała w myślach jakiegoś naturalnego tematu do lekkiej konwersacji.

- To uroczy, stary dom - odezwała się w końcu, podziwiając ściany obite wytłaczaną materią.

- Pozostaje w rękach naszej rodziny od pokoleń - rzekł krótko. - Myślę, że Quentin ci o nim opowiadał.

- Nie, nigdy. Bardzo rzadko wspominał Kornwalię. Przeważnie rozmawiał o swoich wykopaliskach, i to wyłącznie z moją matką. Byli sobą bardzo pochłonięci.

- Chcesz powiedzieć, że byli pochłonięci pracą - poprawił ją chłodnym tonem. - Nie potrafię sobie wyobrazić Iris zafascynowanej drugim człowiekiem...

- Och, robisz z niej kobietę bez serca - obruszyła się Sophie, chociaż zdawała sobie sprawę, że miał rację.

- Czyżbyś pamiętała, jak utulała cię do snu i całowała? - rzekł zjadliwie. - Jestem pewien, że w wieku pięciu lat posłano cię do szkół i pozostawiono tam własnemu losowi. Mam złe informacje?

- Wcale nie znałeś moich rodziców! - rzuciła hardo, choć musiała walczyć z ogarniającym ją współczuciem dla samej siebie. Oczywiście że miał dobre informacje, ale to jeszcze nie powód, by poddawał je własnym, niezycziwym ocenom. Ona włożyła przecież tyle trudu, by zagłuszyć ból serca i nie życzyła sobie rozdrapywania starych ran. Otrząsnęła się i całkiem dobrze poradziła sobie

w życiu... - Zaczęliśmy rozmawiać o twoim domu - podjęła urwany temat z naciskiem, przywołując niesfornego rozmówcę do porządku.

- Trudno jest opowiadać o domu, pomijając jego mieszkańców. - Odchylił się na krześle i przez chwilę podziwiał wzrokiem pałowy kolor wina w kieliszku. - Szczególnie jeśli chodzi o ten dom... Dla mojego ojca na przykład ten dom był ważniejszy niż ludzie. Traktował wszystkich jego mieszkańców jak zbędne, drugoplanowe figury. Wszyscy przemykali się jak duchy, starając się nie wchodzić ojcu w drogę. - Zerknął na nią poprzez stół i uśmiechnął się dziwnym, nieprzyjemnym uśmiechem. - Nie miałabyś lekko, Sophie Grant! Mój ojciec przyczepiłby się do ciebie, choćby z powodu twej wyzywającej twarzyczki.

- Ty go nie lubiłeś!? - zawyrokowała ze zdziwieniem dziecka, które odkrywa nowe światy. To prawda, że sama odnosiła się do rodziców z pewnym chłodem, może nawet obojętnością, ale nie było przecież mowy o niechęci!

- Nienawidziłem go - powiedział ze spokojem, który mógł przerażać. - Moja matka zmarła, gdy miałem pięć lat, ale doskonale ją pamiętam. Pamiętam dobrze jej zawsze przygnębioną, apatyczną twarz... Nie miała chęci do życia, mimo że ja byłem na świecie. Nie mam jej tego za złe. Doskonale ją rozumiem. - Urwał i zamyślił się na chwilę. - Po jej śmierci, jeszcze w tym samym roku, ojciec ożenił się z twoją babką - podjął opowieść. - Wówczas miałem wrażenie, że słońce zagościło w naszym domu. Twoja babka była piękna i radosna... Miała podobne do twoich, błyszczące, rude włosy i zdumiewające, fascynujące oczy. W swym szlachetnym sercu znalazła również miejsce dla mnie... Przez krótki czas zaznałem trochę radości. W dodatku miałem starszego brata, za którym chodziłem jak psiak, a on mężnie tolerował moją stałą obecność. Podziwiałem Quentina i uwielbiałem twoją babkę.

- Co... co się więc stało? - wtrąciła cicho Sophie.

Była oszołomiona, że Matthew zwierza się jej ze swych przeżyć. Tak dumny, tak pewny siebie... a teraz, gdy mówił o tym bolesnym okresie, w jego głosie brzmiała gorycz.

- Nic się nie stało - rzekł krótko. - Po prostu ojciec wrócił do poprzednich obyczajów. Poślubił twoją babkę wyłącznie dlatego, że potrzebował w domu kobiety. Ale nie chciał radości, śpiewu i śmiechu, ani też nikogo, kto by wtrącał się w jego życie. Nie tolerował również dwóch chłopców, którzy kręcili mu się pod nogami. W końcu Quentin wyjechał na uniwersytet, a mnie wysłano do szkoły z internatem. Dom spowija znów głucha cisza... taka cisza, jaką lubił mój ojciec. A swą świeżo poślubioną żonę traktował jak służącą... Gdy wróciłem ze szkoły do domu, ledwie mogłem ją rozpoznać. Kilka lat później spadła z urwiska i zabiła się.

- Dlaczego nie pozbędziesz się tego domu, skoro łączysz z nim tak smutne, ponure wspomnienia? - spytała Sophie po dłuższej chwili milczenia.

- Może na przekór ojcu? Może chcę go irytować swoją osobą? Kto wie?

- Nie można zemścić się na kimś, kto już nie żyje - zauważyła rozsądnie.

- Tak sądzisz? Dlaczego więc, zamiast udać się na uniwersytet, jak życzyli sobie tego twoi rodzice, wolałaś ucieczkę do Londynu?

- Zamierzałam studiować później - wyjaśniła bez zbytniego przekonania. - Wiele osób rozpoczyna studia dopiero wówczas, gdy nabierze życiowego doświadczenia. Nie jestem jeszcze taka stara...

- Ciągłe jesteś dzieckiem - wtrącił. - A życiowego doświadczenia masz tyle, co kot napłakał. Z pewnością to wina Quentina, ale jemu potrafię wiele wybaczyć. Ciepła i czuła kobieta mogła zmienić całe jego życie...

To był znowu przytyk do jej matki. Sophie zawrzała gniewem i dokonała okrutnej zemsty, przywołując w pamięci piękną, lecz zimną twarz Delphine Trevelyan.

- Czyżbyś miał podobne do niego doświadczenia? - spytała z jadowitym błyskiem w oku.

Wyraz twarzy Matthew zmienił się nie do poznania. Sophie pobladła, przerażona własną śmiałością. Co w nią wstąpiło? Dlaczego zachowała się tak niedelikatnie? Przecież nawet nie знаła jego żony... Skąd mogła wiedzieć, czy nadal jej nie oplakiwał?

- Przepraszam - wyjąkała wreszcie speszona przedłużającym się milczeniem. - To był niewybaczalny nietakt z mej strony...

- Znam smak zemsty - powiedział tylko. - Nie spodziewałem się jednak, że uderzysz tak prędko. Lepiej będzie, jeśli przestaniemy rozmawiać o naszych zmarłych.

Szybko skinęła głową i nerwowo upiła łyk wina. Nie powinna zapominać, że on tu był gospodarzem. Nie powinna zapominać, że była na jego łasce... Dopiero gdy posiłek dobiegł końca i pili kawę, odważyła się zapytać, czy może zadzwonić do Londynu.

- Czuj się jak u siebie w domu - rzekł wspaniałomyślnie. - Dzwon, gdzie chcesz. Przypuszczam, że masz ochotę porozmawiać ze swoim chłopakiem?

Nie miał racji. Chciała tylko porozmawiać z Esther, skinęła jednak głową, ponieważ nadal była w wojowniczym nastroju.

- Zaproś go tutaj - zaproponował z wyzwaniem w głosie.

- Dziękuję - odparła.

Czuła się ukarana i upokorzona. Powinna uważać na swój język. Matthew Trevelyan nie był dla niej odpowiednim przeciwnikiem. Postanowiła zadzwonić rano do Esther, a wieczorem być może do Andy'ego... Musi trzymać fason. Musi zachować równowagę. Przede wszystkim jednak nie może więcej drażnić się z Matthew Trevelyanem. Przed chwilą w jego kocich oczach dojrzała zgłodniały, drapieżny wyraz. Jeszcze kilka takich złośliwych uwag, a zostanie rozszarpana na kawałki.

Następnego dnia, gdy Sophie zeszła na dół, jadalnia tonęła w ostrych promieniach porannego słońca. Ładna pogoda zdawała się wpływać na nastrój

Biddy, ponieważ paplała radośnie, nie zważając na obecność chmurnego jak zwykle gospodarza.

- Na Wielkanoc będzie na pewno piękna pogoda - przepowiadała. -

Wspomnicie moje słowa. W każdym razie panicz Philip zażyje trochę świeżego powietrza, gdy pojawi się tu na święta.

- Teraz też przebywa na świeżym powietrzu - wtrącił Matthew tonem ironii.

- Ale tam nie jest tak pięknie jak w Port Withian - Biddy nie dawała za wygraną. - Czy dzisiaj go pan przywiezie?

- Jutro - poprawił ją, ale jeden dzień zwłoki nie pogorszył Biddy humoru.

- A więc zabieram się za pieczenie bułeczek - oznajmiła i opuściła jadalnię.

Sophie siedziała cicho przy stole, zajęta śniadaniem; nie odważyła się zadać jakiegokolwiek pytania, skoro Matthew nie przejawiał ochoty do rozmowy.

- Prawdziwy cud - powiedział po długiej chwili milczenia. - Kobieta, która nie jest ciekawa!

- Biddy? - spytała, nie pojmując do kogo czyni aluzję.

- Umierasz z ciekawości, aby dowiedzieć się, o kim rozmawialiśmy, ale postanowiłaś nie pytać - podsumował, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Nie chciałabym wtrącać się w niczyje sprawy - rzekła potulnie. - Po wczorajszych smutnych doświadczeniach...

- Ale ta sprawa wymagała twojej uwagi - przerwał jej, lekko poirytowany.

- Czy ci się to podoba, czy nie, będziemy mieszkać w tym domu razem przez jakiś czas. Jutro dołączy do nas Philip.

- Philip? - Wolno podniosła wzrok, starając się, by jej oczy nie zdradzały nadmiernego zainteresowania.

- Tak, Philip. Mój syn.

Sophie nigdy nie przyszło do głowy, że Matthew może mieć dziecko. Wpatrywała się teraz w niego zmieszana, nie wiedząc, co powiedzieć. Ale Matthew nie zamierzał jej ułatwiać zadania. Wreszcie zapytała o wiek Philipa.

- Ma osiem lat. - W wyrazie twarzy Matthew nastąpiła ledwie uchwytna zmiana.

Sophie czuła instynktownie, że stąpa po bardzo śliskim gruncie. Pomna wczorajszych doświadczeń odezwała się łagodnym tonem:

- Chętnie go poznam. Mam nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko mojej tu obecności.

- Z pewnością nie - rzekł z powagą Matthew. - Philip jest grzecznym, dobrze ułożonym młodym człowiekiem.

Dlaczego więc nie mieszka razem z ojcem? - zastanawiała się w duchu. Dlaczego został wysłany do szkoły z internatem?

Moc pytań bez odpowiedzi i wir sprzecznych myśli kłębił jej się w głowie przez cały poranek. Zdawało jej się, że po stracie żony Matthew powinien pragnąć bliskiego kontaktu z synem. Przecież nadal tęsknił za Delphine... Świadczył o tym wyraz jego twarzy, gdy zaraz po przyjeździe napomknęła o jego małżeństwie. Dlaczego więc nie chciał być blisko syna?

Oczywiście, w grę mogła wchodzić Eve Corwin. Pani Corwin... Sophie zauważyła obrączkę na jej smukłym palcu. Osoba Eve Corwin stanowiła tu pewną komplikację. Być może, gdyby mieszkał tu Philip, sytuacja byłaby niezręczna...

Sophie uśmiechnęła się do siebie; domyślała się teraz, dlaczego Eve powitała ją tak niechętnie. Czyżby przychodziła do Trembath po wyjściu Bidy? Jakże teraz musiała się zżymać! Nie tylko Philip, ale jeszcze ona - Sophie Grant!

Kilka godzin później, gdy Sophie z tajemniczym uśmieszkiem na twarzy schodziła na dół, żeby zrobić sobie południową filiżankę herbaty, słońce świeciło tak oślepiająco, że nie spostrzegła Matthew stojącego w drzwiach gabinetu. Przyglądał się jej - obserwował, jak w promieniach słońca jej włosy

lśniły żywym ogniem. Gdy go wreszcie zauważyła, zatrzymała się spłoszona, ponieważ odniosła wrażenie, że wyczytał z jej twarzy przewrotne myśli.

- Czy... czy coś się stało? - spytała z lekkim poczuciem winy.

- Nie. - Nie zmienił wyrazu twarzy; nadal patrzył na nią z wnikliwą uwagą, spokojnym, taksującym spojrzeniem. - Słońce wyprawia cuda z twoimi włosami - dodał po chwili. - Nie zapominaj, że jestem pisarzem.

Zażenowana bąknęła coś pod nosem i chciała wycofać się do kuchni, gdy jego nieoczekiwane słowa zatrzymały ją w miejscu.

- Dziś wieczór zwolnię Bidy wcześniej i wyjdziemy coś zjeść. W Port Withian mamy świetną restaurację. Należy do męża Eve Corwin. Właściwie razem ją prowadzą...

Sophie zaniemówiła z wrażenia, skinęła więc tylko głową i odwróciła się w stronę kuchennych drzwi. Nie wiadomo dlaczego, ale była pewna, że pomysł ten strzelił mu do głowy właśnie teraz całkiem nieoczekiwanie. Może rozszyfrował jej zdrotne myśli o roli Eve w jego życiu i po prostu z przekory chciał dać do zrozumienia, że jego romans z Eve będzie się toczyć normalnym rytmem, bez względu na to, czy uzyska jej aprobatę, czy nie. Cóż, ona tego z pewnością nie zaaprobuje. Ta kobieta miała przecież męża! Na myśl o panu Corwinie Sophie krajało się serce.

Aż do wieczora Sophie nerwowo przeglądała swoją garderobę. Bez względu na wszystko postanowiła wyglądać elegancko. Szkoda tylko, że nie wiedziała, jakiego rodzaju lokalem była restauracja Corwinów.

W końcu dokonała wyboru, dopasowując do siebie różne części garderoby. Wzięła prysznic i skropiła się obficie perfumami. Miała tylko lekką kwiatową wodę, więc użyła jej sporo. Długi czas zajęło jej ułożenie włosów. Jeśli promienie słońca sprawiły, że ich kolorystyka oszołomiła Matthew, postanowiła tak je ułożyć, by uzyskać podobny efekt przy świetle elektrycznym. Czesła je tak długo, aż rozboleła ją skóra głowy.

Jakiś czas później zbiegła w szlafroku ze schodów, żeby uprasować bluzkę. Na dole w holu Bidy stała gotowa do wyjścia, a Matthew wyszedł właśnie z gabinetu, żeby ją pożegnać.

Sophie przemknęła obok do kuchni, udając niewidzialną zjawę.

- Gdy jutro przyjdiesz, pojedę po Philipa - powiedział Matthew do Bidy.

- Przyjdę z samego rana. Upiekłam dziś mnóstwo bułeczek. Philip nie może się od nich oderwać.

- Ja też, Bidy - pochwalił ją Matthew. - Jesteś prawdziwą czarodziejką. W dodatku dziś wieczór pachniesz jak księżniczka z „Tysiąca i jednej nocy”.

- Niech pan da spokój, panie Matthew - roześmiała się Bidy. - Przecież pan wie, że to perfumy panny Sophie...

Sophie nie chciała słyszeć nic więcej. Z palącymi rumieńcami na twarzy szybko zamknęła za sobą drzwi. Czyżby zbyt obficie skropiła się perfumami? Nie miała o tym pojęcia, a teraz było już za późno na ponowny prysznic. Szybko uprasowała bluzkę i wróciła do siebie na górę, tym razem przez nikogo nie zauważona. Pospiesznie ubrała się, a potem zwlekała chwilę, by uspokoić myśli i ochłonać. Nie chciała zejść na dół zdyszana; włożyła przecież tyle trudu, by elegancko wyglądać.

Wąskie spodnie w czekoladowym kolorze, które włożyła na tę okazję, sprawiały wrażenie, jakby uszyto je z jedwabiu. Bluzka w tym samym odcieniu ciasno opinająca ciało oraz złoty pasek i dwie złote bransoletki, które ojciec przywiózł jej kiedyś z Egiptu, stanowiły doskonałe zestawienie. W złotych pantoflach na wysokim obcasie wyglądała doprawdy elegancko i - tak jak sobie tego życzyła - przynajmniej na trzydzieści lat.

Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze, przerzucając przez ramię lekki płaszcz. Nie zamierzała go wkładać, żeby nie popsuć efektu. Pomyślała jeszcze, że Matthew musi być przyzwyczajony do świata gwiazd filmowych,

skoro jego książki często były filmowane. No cóż, nie przypomina żadnej sławnej aktorki, ale postara się być dziś szykowną, elegancką kobietą.

Schodziła ze schodów powoli, celowo zatrzymując się na każdym stopniu, jak zwykle czyniły to aktorki w filmach, i przesuając smukłą dłonią po poręczy, obserwowała grę światła na złotych bransoletkach. Jakież to proste! Czowała się jak prawdziwa gwiazda światowego kina. Gdy podniosła wzrok i zobaczyła Matthew stojącego na dole schodów i obserwującego tę błazenadę, ogarnęło ją zakłopotanie.

- Jestem... jestem gotowa - wyjąkała zarumieniona ze wstydu. Jakąż idiotkę z siebie zrobiła! Chociaż miała ogromną ochotę zawrócić i pobiec do swego pokoju, musiała schodzić po schodach niżej i niżej, aż wreszcie zatrzymała się na wprost gospodarza.

- Wyglądasz bardzo pięknie. - Oczy Matthew jaśniały dziwnym blaskiem.
- To wielki zaszczyt, że mogę ci towarzyszyć.

To był niewątpliwie komplement, ale Sophie czuła się nadal okropnie. Dopiero gdy wyszli na dwór i zobaczyła bezkresne morze tonące w poświacie księżyca, przystanęła oczarowana pięknem tego miejsca. Z oddali dobiegał rytmiczny łoskot fal uderzających o brzeg.

- Przemarznieš w tej cienkiej bluzce - ponaglił ją.

- Och, nie sądziłam, że ogród jest taki piękny wieczorem - westchnęła. - Piękny i tajemniczy... A morze takie dzikie i podniecające!

- Przede wszystkim niebezpieczne - dodał cicho, również wpatrzony w zalany światłem księżyca pejzaż. - W pięknie często drzemie niebezpieczeństwo.

- Wiem - odparła, idąc do samochodu. - Przeczytałam wszystkie twoje książki.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się do niej, otwierając drzwi.

- Czy to ze względu na nasze rodzinne powiązania, czy też naprawdę cię zainteresowały?

- Po trosze z obu powodów - wyznała szczerze, sadowiąc się w samochodzie. - Pierwszą kupiłam z ciekawości, ponieważ cię trochę pamiętałam, potem wciągnęłam się w lekturę.

Matthew obszedł samochód i zasiadł za kierownicą.

- Pamiętałaś mnie? - podjął wątek.

- Jak przez mgłę - powiedziała z wahaniem. - Wystraszyłeś mnie trochę i chyba dlatego cię zapamiętałam... Właściwie... - zawahała się. - Wryło mi się w pamięć określenie matki. Nazywała cię Czarnym Kornwalijczykiem.

Do licha! I znów się wygłupiła. Wypaplała wszystko jak dziecko. Spojrzała na niego wystraszona, ale Matthew uśmiechał się tylko tajemniczo i spokojnie obserwował drogę.

- Czarny Kornwalijczyk, powiadasz? Cóż, nazywano mnie już znacznie gorzej. Przykro mi, że cię wtedy wystraszyłem.

- Teraz jestem już wystarczająco duża i się nie boję - rzuciła z werwą.

- Owszem, nie zapominaj jednak, że niebezpieczeństwo można znaleźć wszędzie, jeśli się go szuka.

Nie zrozumiała, co miał na myśli. Powiedział to dziwnym tonem, a potem zamilkł na długą chwilę. Odezwał się, dopiero gdy dotarli do Port Withian. Do tej pory odwaga i brawura Sophie zdążyły już całkiem wyparować.

W Port Withian było zadziwiająco cicho; małe miasteczko u progu sezonu turystycznego wyglądało jak wymarłe. Zaparkowali przy portowym nabrzeżu, nikogo po drodze nie napotykając.

- Wydaje się, jakby nikt tu nie mieszkał - odezwała się Sophie podenerwowanym głosem.

Matthew zerknął na nią i roześmiał się tym niskim, gardłowym śmiechem, do którego zaczęła się przyzwyczajać.

- Spójrz tam! - Wskazał ręką mały pub znajdujący się przy końcu ulicy. Płynące stamtąd światła rzucały refleksy na wyboisty bruk. - Niedługo Eve i

Brad będą musieli zakasać rękawy. To bardzo popularny lokal, latem ciężko tu o stolik - dokończył.

A więc mąż Eve miał na imię Brad... Sophie zaczęła się zastanawiać, jak wyglądał, czy był równie przystojny jak Matthew. Oczami duszy widziała Eve bezceremonialnie flirtującą z Matthew pod nosem swego męża, a nawet w obecności licznych turystów - i znów ogarnął ją niepokój pomieszany ze złością. Szła obok Matthew z wyraźnym ociąganiem.

- Chodź trochę szybciej! - ponaglił ją. - Mam nadzieję, że nie myślisz o ucieczce do samochodu? Jeśli ktoś cię zaatakuje, obiecuję, że rzucę się na niego jak lew.

- Bruk jest nierówny - wymamrotała. - Mam pantofle na wysokim obcasie.

- Zauważyłem - skwitował. - Między uprasowaniem bluzki a zejściem ze schodów zdążyłaś się trochę postarzeć.

Sophie zarumieniła się w ciemnościach, przypominając sobie jednocześnie o obłoku perfum, który ją otaczał i złośliwej uwadze Matthew na ten temat. Czyżby nadal odurzała go swym zapachem?

- Jeszcze tylko kilka kroków - tłumaczył, mocno ściskając ją za ramię.

- Trochę mi głupio z powodu tych perfum - wymamrotała zakłopotana.

- Perfumy są w porządku - zbagatelizował. - Jesteś zachwycająco ekscentryczną osobką, Sophie Grant.

Co za uprzejmość, pomyślała ponuro. „Zachwycająco ekscentryczna"! Pewnie chciał powiedzieć: niezbyt mądra...

- Dziękuję - powiedziała chłodno, ignorując własne refleksje o stanie swego umysłu. - Zastanawiałam się tylko, czy nie użyłam zbyt dużo perfum. Tu jest takie ciche, ustronne miejsce, a ja przywykłam do większej gali w Londynie.

- Tu również znają perfumy - rzekł ironicznie i na tym zakończył rozmowę, ponieważ dotarli wreszcie do oświetlonych drzwi, zza których dochodził gwar rozbawionych głosów.

Nim Sophie zdążyła cokolwiek powiedzieć, znalazła się w jasno oświetlonym wnętrzu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lokal nie wyglądał tak, jak Sophie go sobie wyobrażała. W wyobraźni widziała przestronne pomieszczenie oświetlone łagodnym światłem świec ustawionych na stolikach. Przy wtórze cichej muzyki pomiędzy stolikami poruszała się z gracją Eve, rozmawiając uprzejmie z elegancko ubranymi gośćmi, i raz po raz rzucając Matthew znaczące spojrzenie; w tym samym zaś czasie jej mąż spoglądał na nich obydwój oczami maltretowanego psa.

W rzeczywistości tylko cicha muzyka pasowała do tego obrazu. Pierwsze pomieszczenie było niewielkie, do następnego zaś prowadziło łukowate przejście, jakby żywcem wyjęte ze średniowiecznego klasztoru.

Znajdował się tam długi, półokrągły bar - bardzo staroświecki - za nim zaś stał wysoki, przystojny mężczyzna o pogodnej, rubasznym twarzy i szarych oczach. Na widok Matthew pojawił się w nich szczery, radosny błysk. Sophie odgadła, że to Brad Corwin we własnej osobie wychodził zza baru, żeby ich przywitać.

- Wiele o pani słyszałem, panno Grant - odezwał się uprzejmie. - Eve opowiedziała mi o bratanicy Matthew, Sophrinie.

- Nie denerwuj jej! - ostrzegł Matthew. - Gdy jest wściekła, potrafi ugryźć. Ma na imię Sophie i wcale nie jest moją bratanicą. - Rozejrzał się po sali, która dopiero w połowie była zapełniona... - Usiądziemy przy oknie. Sophie lubi patrzeć na morze.

- Coś do picia? - spytał Brad.

- Sherry. Dla mnie wytrawną, a Sophie lubi słodką.

Skąd o tym wiedział, że wypowiadał się tak autorytatywnie?! Tylko raz piła sherry w jego obecności - i mogła to robić po prostu przez grzeczność. Dlaczego zachowywał się wobec niej tak władczo? Traktował ją jak nastolatkę! Nawet nie dał jej szansy porozmawiania chwilę z Bradem Corwinem. Po prostu wziął ją pod ramię i zaprowadził do stolika.

Gdy siadała na krześle, Matthew stanowczym ruchem wyjął jej z ręki płaszcz.

- Odniosę go do szatni. Zupełnie o nim zapomniałem. Właściwie dlaczego nie włożyłaś go na siebie? Na dworze jest dość chłodno.

- Nie pasował do reszty mego stroju - wycodziła przez zęby. Popatrzył na nią rozbawionym wzrokiem.

- Mogłaś go zdjąć dopiero tutaj. Twój strój wywarłby jeszcze większe wrażenie.

- Nie usiłuję wywierać wrażenia - zapewniła go z całą godnością, na jaką ją było stać.

- Ale już ci się to udało z Bradem Corwinem - rzekł z sardonicznym uśmiechem. - O mało nie przewrócił się z wrażenia, przynosząc ci sherry.

- Zachowuje się uprzejmie i przyjacielsko, ponieważ wie, że jestem twoją krewną! - odcięła się ze złością.

- Że też na to nie wpadłem! - Strzelił palcami w teatralny sposób. - To wszystko wyjaśnia, czyż nie? - Rzucił jej sceptyczne spojrzenie i odszedł, żeby odwiesić płaszcz.

O co mu chodziło? Siedziała zła i nachmurzona, podczas gdy Matthew rozmawiał wesoło z Bradem.

Jakież to wszystko było cyniczne i przewrotne! Czyżby Brad o niczym nie miał pojęcia? A może akceptował ten stan rzeczy? Mężczyźni to dziwne stworzenia... Pomyślała ciepło o Andrew i swoich rówieśnikach z Londynu. Z

Andrew całkowicie kontrolowała sytuację, ale tu z Matthew nie była już tak pewna siebie...

Traktował ją miło i przyjaźnie, żeby po chwili zmienić front i zgromić ją ostrym słowem i lodowatym spojrzeniem. W dodatku potrafił czytać w jej myślach jak w otwartej książce i patrzeć na nią z irytującą, chłodną obojętnością obcego człowieka. Ciekawe, jak zachowuje się w stosunku do własnego syna?

- Czy daleko jedziesz po Philipa? - spytała później, gdy sącząc drinki, czekali na zamówiony posiłek.

- Blisko - powiedział krótko. - Zresztą sama zobaczysz. Zabieram cię ze sobą.

I znów to samo - władcza, autorytatywna nuta!

- To miłe z twojej strony, ale nie jestem pewna, czy...

- Ja natomiast jestem pewien, że palisz się do tego wyjazdu, Sophie. Z wielkim trudem udaje ci się powstrzymać ciekawość. A poza tym - dodał, widząc jej zagniewaną twarz - rozejrzysz się trochę po okolicy i poznasz Philipa, nim wrócimy do Trembath.

Zauważyła, że nigdy nie używał słowa „dom” w odniesieniu do Trembath... Rozmyślała jeszcze nad tym, gdy przyniesiono główne danie, a wraz z nim, dumnie stukając obcasami, pojawiła się Eve Corwin. Popatrzyła na Matthew jak drapieżnik na swą ofiarę, a potem odezwała się głośno, tak głośno, żeby wszyscy słyszeli:

- Kochanie! Widzę, że przyprowadziłeś swoją bratanicę! - To mówiąc, położyła poufale rękę na ramieniu Matthew.

Sophie przeraziło własne wzburzenie. Skręcała się z gniewu i niepoohamowanej zazdrości - a przecież było to całkiem nie na miejscu! Nie miała żadnego prawa do Matthew... Za kilka miesięcy wyjedzie stąd, Eve zaś nadal pozostanie jego przyjaciółką...

- Sophie nie jest moją bratanicą - sprostował Matthew z wyrazem znudzenia na twarzy. - Nie zapominaj o tym, Eve. Zdążyłem zauważyć, że błędnie poinformowałaś Brada.

- Przecież istnieje między wami pewne pokrewieństwo, a te wszystkie wyjaśnienia o twoim przyrodnim bracie, jego żonie i Sophrinie są zbyt skomplikowane. Prościej powiedzieć każdemu, że to twoja bratanica.

- Lepiej pozwolić ludziom, by zajmowali się własnymi sprawami - skwitował.

Sophie zerknęła na niego przelotnie; wyglądał na poruszonego. To było nawet intrygujące... Na chwilę zapomniała nawet o Eve, która z uporem godnym lepszej sprawy ciągle nazywała ją Sophriną. Dopiero gdy Matthew podniósł głowę i skrzyżowali spojrzenia, zrozumiała, że zbyt intensywnie się w niego wpatruje. Eve obserwowała ich z wyraźną podejrzliwością. Sophie szybko odwróciła wzrok i pochyliła się nad parującym talerzem.

Jednak nie dane im było zjeść w spokoju, ponieważ natychmiast pojawił się Brad pod pretekstem sprawdzenia, czy wszystko w porządku, a w rzeczywistości, by przypilnować żonę.

- Jak naszemu pięknemu gościowi smakuje jedzenie? - spytał Matta takim tonem, że Sophie poczuła onieśmienie.

- Sam ją zapytaj - rzucił Matthew. - Sophie rozumie po angielsku.

Na twarzy Eve pojawił się złośliwy, pełen satysfakcji uśmiech.

- Jedzenie jest wyśmienite - odparła w końcu Sophie, pamiętając złośliwą uwagę Matthew. - Byłam trochę zaskoczona, gdy Matthew zaproponował, byśmy zjedli poza domem, ponieważ Biddy świetnie gotuje... Ale teraz rozumiem, że to interesująca odmiana, a poza tym Biddy ma wolny wieczór.

- A zatem nie mamy szans przy Biddy? - roześmiał się Brad.

- Och, wcale tego nie powiedziałam! - Sophie potrząsnęła głową. - Chciałam tylko powiedzieć, że na ogół lubię siedzieć w domu. Zapewne macie w menu potrawy, o których Biddy nie ma zielonego pojęcia, ale nie mogłam

tego stwierdzić, ponieważ Matthew zdecydował za mnie. - Wypowiedziała jego imię zduszonym głosem, z radością w sercu konstatując, że Eve nie była z tego zadowolona. Ale sama również nie była zachwycona efektem, jaki wywarły jej słowa na Bradzie. Na jego twarzy pojawił się lekko pobłaźliwy wyraz, tak jakby rozmawiał z dzieckiem. Och, wszyscy mężczyźni są tacy sami! - pomyślała ze złością.

W tej chwili nie była już pewna, czy rzeczywiście lubi Brada, i czy naprawdę powinna mu współczuć.

- Czy gotowanie to twoja zasługa? - zwróciła się do Eve z pozorną słodyczą w głosie.

- Ależ skąd ci to przyszło do głowy! - oburzyła się Eve i natychmiast odeszła, za chwilę zaś to samo uczynił Brad, uśmiechając się złośliwie pod nosem.

Sophie pierwszą potyczkę mogła uznać za wygraną. Odetchnęła z satysfakcją i powróciła do jedzenia.

- Czy działasz według obmyślonego planu, czy też jest to twój zwykły sposób konwersacji przy posiłku? - zapytał Matthew z pewnym zniecierpliwieniem.

Spojrzała na niego ze stoickim spokojem przygotowana na czołowe zderzenie.

- Czyżbym powiedziała coś niestosownego? - Buńczucznie uniosła podbródek. - Odpowiadałam tylko na pytania.

- Ach, rozumiem. W takim razie koniecznie muszę zobaczyć, jak wygląda w twoim wydaniu kłótnia. To będzie szalenie pouczające doświadczenie.

- Jeśli mam być całkiem szczerą... to nie lubię ich obojga! - wypaliła. Nie było zresztą sensu udawać. Rzuciła rękawicę z wyrazem zimnej obojętności na twarzy.

- Wcale nie masz takiego obowiązku - odparł lodowato. - Corwinowie są przecież moimi, a nie twoimi przyjaciółmi.

- Obydwoje? - spytała szybciej, nim zdążyła pomyśleć.

Matthew patrzył na nią długo wrogim, lodowatym spojrzeniem, a potem powiedział cicho, lecz bardzo stanowczo:

- Nie wtrącaj nosa w moje sprawy, Sophie!

- Nie... nie interesują mnie twoje sprawy. - Miałaby ochotę dodać coś więcej, ale patrząc na ponury wyraz jego twarzy, nie ośmieliła się.

- Mam nadzieję, że tak jest w istocie. Gdy stąd wyjedziesz, życie popłynie normalnym, starym rytmem. Nie wolno ci o tym zapominać.

Sophie nagle straciła apetyt i posmutniała. A więc zraziła go do siebie nieodwracalnie. Niepotrzebnie w ogóle zabierała głos. Powinna pozostawić sprawy ich własnemu biegowi. Teraz szansa, że Matthew w ogóle jej wybaczy, wydawała się bardzo znikoma. A wszystko z powodu mężczyzny i kobiety, którzy powinni być jej zupełnie obojętni...

I co ją obchodził tryb życia Matthew Trevelyana!? Zapewne miał przyjaciółki rozsiane po całym świecie, ale to nie była jej sprawa. Dlaczego więc ją to obchodziło - nawet bardzo obchodziło? Nie potrafiła tego zrozumieć.

Gdy skończyli kolację, przysiedli jeszcze na chwilę przy barze, gdzie Matthew zamówił kolejne drinki.

- Nie jestem przyzwyczajona do picia takich ilości alkoholu - szepnęła z niepokojem.

Wydawało się, że zignorował te słowa, ale gdy podano jej drinka, ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że była to lemoniada. Z pewnością chciał zrobić jej afront! Odwrócił się teraz do niej plecami i wdał w rozmowę z jakimiś znajomymi.

- Czy nie masz zamiaru przedstawić nam swojej przyjaciółki? - spytała w końcu jedna z kobiet, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Nim Matthew zdążył cokolwiek odpowiedzieć, uprzedziła go Eve.

- To jest Sophie Grant. Mieszka z Mattem. - Eve nie kryła złości i chęci skompromitowania Sophie.

Sophie poczuła, jak jej twarz oblewa krwawy rumieniec wstydu i gniewu zarazem. Och, dlaczego Matthew nie zamierzał jej pomóc? Zdawał się być ubawiony sytuacją w równym stopniu co Eve.

- Jesteśmy... jesteśmy powiązani... - zaczęła nieśmiało.

- Owszem, powiązani... ale tylko przeszłością - dokończył za nią Matthew dobitnie i tak głośno, aby wszyscy usłyszeli. - Cudownie, że Sophie do nas przyjechała. Biddy jest nią oczarowana.

- Trudno jej się dziwić - wtrącił z szelmowskim uśmiechem Brad.

Sophie domyślała się, że tym komentarzem chciał dokuczyć Eve, daleka jednak była od mściwej satysfakcji. Zbyt wiele par oczu przyglądało jej się z ciekawością, na zbyt wielu twarzach pojawił się wyraz zakłopotania.

Wszyscy naraz zaczęli z nią rozmawiać i Sophie domyślała się, że chciano tym pokryć ogólną konsternację. Później nie pamiętała ani jednego pytania, ani jednej swojej odpowiedzi. Nagle Matthew pojawił się u jej boku.

- Czas już na nas - oznajmił chłodno.

- Do zobaczenia, Sophie - powiedział głośno Brad, a Eve obrzuciła ich oboje morderczym spojrzeniem.

A więc pragnęła mieć ich obu naraz - Matthew i Brada! Sophie zadrżała z oburzenia i odwróciła się na pięcie.

- Pożegnaj się, Sophie - Matthew przywołał ją do porządku. Mocno chwycił ją za ramię i siłą odwrócił w stronę baru.

Zmusiła się do lekkiego uśmiechu i powiedziała wszystkim dobranoc.

- Spisałaś się doskonale - zadrwił. - Jeszcze kilka takich wyjść i całkiem nabierzesz ogłady.

Gdy wreszcie znaleźli się na wybrukowanej ulicy, gwałtownie mu się wyrwała i stanęła naprzeciw niego z oczami pociemniałymi z gniewu.

- Widzę, że bawi cię poniżanie mnie! - warknęła.

- Niespecjalnie - zapewnił ją beznamiętnym tonem. - Zastanawiałem się tylko, czy rozumiesz, że plotki rodzą się bardzo szybko.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Odwróciła się ostentacyjnie i szybkim, żołnierskim krokiem pomaszerowała do samochodu.

Doskonale wiedziała, o czym mówił. Zrobiła z siebie kompletną idiotkę i Matthew przy tym był. A teraz odpłacał jej pięknym za nadobne. Rozpierała ją złość, gotowa była zrobić krzywdę każdemu, kto nieopatrznie stanąłby jej na drodze. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było.

Nagle potknęła się o wybój i zachwiała na nogach. W tym samym momencie Matthew objął ją w pasie mocnym jak stal ramieniem i uniósł do góry.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, z trudem łapiąc oddech.

- Mam pozwolić, byś skrzyła sobie nogę? Już raz leżałaś w łóżku. Bidy ma wystarczająco dużo zajęć bez tego.

- Nie wracam z tobą do Trembath! - zawołała. - Zostaw mnie! Znajdę tu sobie jakiś nocleg, a rano wrócę do Londynu.

- Jesteś bezgranicznie głupia - orzekł i niemal siłą wrzucił ją do samochodu. - Prawdę mówiąc, mam dość twego towarzystwa na dziś wieczór. - Usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. - Jeszcze jedno słowo - zagroził - a przerzucę cię przez kolano.

- Nie ośmielisz się! Są pewne prawa...

- I restauracja pełna ludzi, którzy myślą, że po prostu jesteśmy razem. Myślę, że dostałbym łagodny wyrok.

Sophie umilkła, oburzona jego przewrotną logiką.

- Oni... oni wcale tak nie myślą - podjęła po chwili. - Domyślają się, że to był tylko taki żart... Eve im przecież wszystko wytłumaczy...

- Wątpię - rzekł ze śmiertelną powagą. - Racz sobie przypomnieć, że to właśnie ona im to zasugerowała. A z pewnych powodów jej to odpowiada.

- Doskonale wiesz dlaczego! - rzuciła oskarżycielskim tonem, on zaś przytaknął obojętnie.

- Owszem, wiem. A teraz bądź tak dobra i siedź cicho. Sophie umilkła jak spłoszony ptak i wsłuchiwała się w skupieniu w dziki łoskot fal pędzonych wiatrem.

Matthew milczał również; dopiero gdy zatrzymał samochód przed frontowymi drzwiami, zerknął uważnie na pobladłą, udreńczoną twarz Sophie.

- Mogę cię pocieszyć - zauważył zdawkowo - że Eve zapewne opowiedziała już całemu miasteczku o mojej bratanicy. Myślę więc, że nikt nie zwróci uwagi na jej ostatnie słowa, zwłaszcza że Bidy wzięła cię pod swoje skrzydła. Z pewnością nadal masz reputację Królowy Śnieżki, jeśli ci na tym zależy.

Sophie wpatrywała się teraz w niego z nienawiścią. Miał zupełną rację i doskonale o tym wiedziała. Ale przed chwilą celowo pozbawił ją zdolności logicznego rozumowania. Pozwolił, by cierpiała, bawiło go to... A teraz, jak gdyby nigdy nic, przywracał sprawom właściwą miarę.

- Ty... ty wstrętny...! - Nie potrafiła znaleźć odpowiednio mocnych słów, by go obrazić, więc w bezsilnej złości rzuciła się na niego z pięściami.

- Sophie, uspokój się! - Chwycił jej uniesione dłonie. - Widzę, że będę musiał poświęcić więcej czasu twemu wychowaniu. Mam nadzieję, że Philip nie zacznie cię naśladować... Naprawdę, jutro postaraj się zachować trochę lepiej.

- Nigdzie z tobą nie pojedę! - Wyrwała mu się wreszcie i wyskoczyła z samochodu jak oparzona. - A gdy wrócisz, nie będzie tu po mnie śladu!

Gdy rozwścieczona biegła po schodach na górę, stanęły jej przed oczami niektóre sceny z jego książek. Och, teraz wszystko zaczynała rozumieć... Był naprawdę potworem - tylko skończony łotr mógł pisać takie książki!

Postanowiła jeszcze jutro spakować manatki i wrócić do Londynu. Co prawda, tam również będzie musiała zdać się na czyjąś łaskę... Trudno. Wszystko wydawało się lepsze, niż pozostanie w Trembath.

Następnego poranka Sophie stała w oknie sypialni i w zamyśleniu wpatrywała się w morze. Dzień był piękny, słoneczny. Rozhukane kornwalijskie

morze sprawiało dziś wyjątkowo spokojne wrażenie. Promienie słońca leniwie kładły się na delikatnych falach, ozdabiając granatową toń błękitną, świetlistą powłoką. Widok z okna był naprawdę piękny. Gdy nadejdzie lato i ogród się zazieleni, będzie tu naprawdę uroczo, pomyślała z goryczą, ponieważ przyszedł jej na myśl szary, ponury Londyn i jej pożałowania godna sytuacja życiowa. Nie miała do czego wracać. Sprawy przedstawiały się tak samo źle jak w dniu, gdy tu przyjechała. A może jeszcze gorzej...

Dzwoniła do Esther i dowiedziała się, że przyjaciółka sprzedała już ich używane meble, które kiedyś razem kupiły. Sama mieszkała sobie szczęśliwie w hotelu pracowniczym... Dzwoniła też do Andy'ego i wywnioskowała z tonu jego głosu, że również był w dobrym humorze... Pomyślnie zdał egzaminy i pewnie już jakaś inna dziewczyna wpadła mu w oko. Co gorsza, Sophie zdążyła już pochwalić Trembath i Matthew Trevelyana...

Jeśli wróci, będzie musiała się przyznać, że jej zachwyty były pochopne... Ale największy problem stanowiły finanse... Właściwie w ogóle nie miała pieniędzy.

Zagryzła wargę na widok Matthew wracającego przez ogród znad morza. Mokry ręcznik znów niedbale wisiał mu na ramieniu, a włosy jak zwykle lśniły w promieniach słońca. Sophie poczuła dziwny skurcz w sercu, śledząc jego zwinne kroki, przypatrując się surowym, szlachetnym liniom jego twarzy i jego ustom wykrzywionym w charakterystycznym półuśmiechu.

Szybko odwróciła się od okna, podejmując decyzję. Musi go zawiadomić, że zmieniła zdanie i zostaje. I lepiej, jeśli zrobi to od razu.

Jaka szkoda, że Matthew Trevelyan nie okazał się zrzędlwym starcem o pomarszczonej twarzy. Przyrodni wujowie właśnie tak powinni wyglądać! Ale ona miała takie szczęście, a raczej pecha, że trafiła na wspaniałego Matthew Trevelyana! Prześladowało ją od pewnego czasu jakieś ponure fatum i zaczynała powoli dochodzić do wniosku, że naprawdę była owym środowym dzieckiem z

wierszyka deklamowanego przez Matthew - dzieckiem, które prześladował w życiu pech.

Dała Matthew jeszcze chwilę na rytualne rzucenie mokrego ręcznika na politurowane krzesło i zeszła na dół do kuchni.

Matthew jadł już śniadanie. Nie powiedział nawet dzień dobry, co odebrało jej odwagę. Dłuższą chwilę przyglądał jej się spod oka, po czym wstał i przytrzymał jej krzesło.

- Dzień dobry - wykrztusiła. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi. - Usiadł naprzeciw niej i wrócił do przerwane go posiłku. - Nie musimy się spieszyć. Philip może opuścić szkołę dopiero w porze lunchu.

- Philip? - Popatrzyła na niego nieprzytomnie. Czyżby zapomniał o jej wczorajszym wybuchu?

- Tak, Philip - potwierdził, nawet na nią nie patrząc. - Przecież mówiłem, że dziś jedziemy po Philipa. Chyba nie zapomniałaś?

- Ale... ale przecież zapowiedziałam, że dzisiaj wyjeżdżam... - Wpatrywała się w niego z niepokojem, lecz on nie przerywał jedzenia.

- Ale zmieniłaś zdanie - powiedział krótko. - Wracamy więc do pierwotnego planu.

- Skąd wiesz, że zmieniłam zdanie? - zdziwiła się.

- To tylko przypuszczenie. - Oderwał wzrok od talerza i popatrzył na nią swymi błyszczącymi, kocimi oczami. - Zeszłaś na śniadanie i zachowujesz się w rozsądny sposób. Nie wyglądasz na rozdrażnioną ani nadąsaną. Wydaje mi się więc, że wracamy do punktu wyjścia.

- Ja się nigdy nie dąsam - zauważyła z wyrzutem, ale szybko opuściła wzrok, widząc w jego oczach błysk rozbawienia.

- Możliwe, jednak sprawiasz wrażenie nadąsanej - skonstatował. - Tak czy owak, wybaczam ci, Sophie. I pozostaniesz tu aż do początku jesienno go

semestru. A dziś pojedziemy razem po Philipa. Nie ma o czym więcej dyskutować. Tylko, proszę, nie psuj nam dnia kolejnym napadem złego humoru.

- Dlaczego ciągle traktujesz mnie jak rozkapryszone dziecko? - pożałowała się, dotknięta jego protekcyjnym tonem. - Nie jestem dzieckiem ani idiotką!

- Jesteś rozbijającą młodą, Sophie - potwierdził. - I być może dlatego popełniasz tyle błędów. Ale kończmy już śniadanie i w drogę!

Nie była pewna, czy chciał ją tym komentarzem sprowokować, czy też zachowywał się w sposób naturalny, przekonany święcie o swojej wyższości. Opanowała się w porę, by znów nie wybuchnąć, ale wiele ją to kosztowało, i wiedziała, że na dłuższą metę tego nie zniesie.

W drodze do Port Withian odczuwała zadowolenie ze zmiany planów. Odwracała się raz po raz i patrzyła na Trembath z dziwną radością w sercu. Widok kamiennych ścian na tle rozświetlonego nieba i morza poprawiał jej humor, krzepił na duchu.

Trembath w jakiś przedziwny sposób ucieleśniał jej marzenia o prawdziwym domu. O domu, którego nigdy nie miała...

Doszła do wniosku, że atmosferę Trembath Matthew przeniósł na karty swych powieści i właśnie dlatego nie mogła od tych książek się oderwać. Gdy po raz kolejny westchnęła z zachwytem, Matthew zerknął na nią z rozbawieniem.

- Jeśli, będziesz grzeczna, ofiaruję ci ten dom.

Sophie dosłyszała w tych słowach uszczypliwą nutę, mimo że wypowiedział je z kamienną powagą.

- Cóż za dziwne stwierdzenie! - zaproponowała. - To niemożliwe i doskonale o tym wiesz.

- Dlaczego niemożliwe? Przecież Quentin również tu mieszkał.

- Ale dom ten nie należał do jego ojca.

- Należał do jego matki. To wystarczy. Nic nie wyniosła z tego małżeństwa poza nieszczęściem...

- Dlaczego nie sprzedasz domu, jeśli go tak nienawidzisz? - spytała zniecierpliwiona, ponieważ udało mu się popsuć jej dobry nastrój. - To przecież oczywiste, że go nienawidzisz. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tu ciągle tkwisz? Tylko mi nie mów, że mścisz się w ten sposób na ojcu. Jesteś zbyt rozsądny, by ulegać takim idiotyzmom. - Umilkła, widząc, że patrzy na nią z ukosa w dziwny, zagadkowy sposób. I nagle, zbyt późno, zdała sobie sprawę, że znów nie potrafiła utrzymać języka na wodzy.

- Czy masz zwyczaj urządzać życie wszystkim znajomym, czy też uwzięłaś się tylko na mnie? - spytał chłodno. - Zastanawiam się, jak twój chłopak daje sobie teraz radę bez twojej pomocy.

- On jest bardzo praktyczny - skłamała pospiesznie. Potrzebowała teraz Andy'ego jako tarczy ochronnej. - Andrew i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni. Mamy takie samo spojrzenie na życie.

- To wielkie szczęście - powiedział zdawkowo. - Ale jeśli chodzi o mnie, prosiłem cię już, byś trzymała się z dala od moich spraw, nieprawdaż? Tym razem powiem więcej: to rozkaz!

- Jednak twoje zachowanie nie jest w porządku i myślę, że Philip... - Ugryzła się w język przerażona, ponieważ Matthew zatrzymał samochód na środku drogi i odwrócił się do niej z twarzą naznaczoną wściekłością.

- Nie wtrącaj się w wychowanie mojego syna! - ostrzegł ostrym tonem. - Zaprosiłem cię tu ze względu na Quentina, ale jeśli zrobisz cokolwiek, co zdenerwuje Philipa, osobiście odwiozę cię do Londynu i rzucę w ramiona twemu stęsknionemu chłopakowi. Rozumiesz, Sophrino?

- Rozumiem. - Nie odważyła się nawet protestować, że użył jej znienawidzonego imienia.

Została przywołana do porządku, i przynajmniej chwilowo straciła swą zwykłą wojowniczość. Odwróciła twarz od Matthew i nieruchomo spoglądała przez szybę. To dziwne i śmieszne, że tak bardzo przejmuje się jego sprawami... Esther z pewnością udzieliłaby jej reprimendy. No tak, ale Esther tu nie było, a

Sophie nie zamierzała do niej teraz dzwonić. Życie w Trembath stawało się coraz bardziej ekscytujące i coraz rzadziej myślała o Londynie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy pozostawili za sobą morze i wyjechali z polnych dróg obrzeżonych nasypami, Sophie nareszcie mogła podziwiać okolicę.

Krajobraz, który uprzednio zrobił na niej ponure wrażenie - teraz nie wydawał się już tak obcy i wrogi. Zadziwiająco szybko przywiązała się do tej odludnej krainy. Może dlatego, że to było miejsce dorastania jej ojca? Ten zakątek Anglii zdawał się bardziej tajemniczy i ekscytujący wyobraźnię niż wszystkie egzotyczne miasta i kraje, do których jeździł.

Natrętnie powracał obraz babki stojącej z rozwianym włosom nad urwiskiem i zapatrzonej w przestrzeń niespokojnego, szarzielonego morza. I zawsze gdzieś w tle pojawiał się dom - Trembath. Pojawiał się i znikał jak senna mara - czasami bardzo wyrazisty w promieniach słońca, rozbrzmiewający echem głosu Matthew, to znowu pogrążony w upiornym mroku, pełen trwożliwych szeptów, spowity całunem żałoby i nieszczęścia. I wtedy zaczynała odczuwać współczucie dla Matthew - widziała w nim człowieka żyjącego wspomnieniami o nieszczęściach i rozczarowaniach, które zraniły go i na zawsze odmieniły jego los...

Otrząsnęła się z tych myśli i wróciła do rzeczywistości. Popatrzyła na ponurą, zaciętą twarz swego towarzysza podróży, na jego bursztynowe, zmrużone w słońcu oczy - i doszła do wniosku, że tak naprawdę, to przecież myśli o nim ustawicznie...

W jej oczach musiał dostrzec niechęć i irytację, ponieważ, zerkając na nią z ukosa, powiedział:

- Może zawrzemy rozejm, nim dojedziemy do Philipa? Nie chcę, by na powitanie zobaczył dwa kamienne oblicza.

- Przepraszam, że wtrąciłam się w twoje sprawy - wykrztusiła z trudem. -
Zrobię wszystko, by to się więcej nie powtórzyło.

- Zaryzykuję i uwierzę. - To była oczywista drwina. - Może wypijemy kawę na znak zgody? - I nie czekając na odpowiedź, zatrzymał się przed starą oberżą przyozdobioną od frontu poczerńniętymi beczkami, w których posadzono pierwsze wiosenne kwiaty.

- Wygląda złowieszczo - powiedziała Sophie, wysiadając z samochodu, a Matthew wybuchnął głośnym śmiechem.

- Cieszy się dobrą opinią - zapewnił. - Choć w dawnych czasach porządni ludzie bez wątpienia omijali to miejsce z daleka.

- Jaskinia przemytników? - Sophie miała oczy szeroko otwarte jak wylęknione dziecko.

- Owszem, jeśli wierzyć właścicielowi. Snuje niestworzone historie, by przyciągnąć turystów. - Niespodziewanie położył rękę na jej ramieniu i dodał z pogodną wyrozumiałością: - Mam wrażenie, Sophie, że znajdzie w tobie wymarzoną słuchaczkę. Jesteś gotowa uwierzyć we wszystkie historie, byle były wystarczająco romantyczne.

- I makabryczne. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że jestem naiwna - dodała z nienaturalną werwą, zakłopotana faktem, że Matthew bezceremonialnie obejmował ją ramieniem.

- Nigdy tego nie sugerowałem - rzekł ironicznie. - Osoby naiwne nie potrafią tak sprawnie kierować życiem innych ludzi, nieprawdaż?

- Mielśmy o tym nie rozmawiać! - zaperzyła się znów, wyrywając się z jego objęć. - O ile pamiętam, zawarliśmy rozejm.

- To prawda - przyznał. - Jakże mogłem o tym zapomnieć! Tym razem jeszcze bardziej stanowczo ujął jej dłoń i pociągnął do wyjścia. Naigrawał się z niej! To było jasne jak słońce i miała szczerą ochotę od nowa wszcząć bitwę, ale dotyk jego silnej, ciepłej dłoni w dziwny sposób łagodził jej reakcje. Gdy spojrzała w dół na ich splecione ręce, na jej policzki wypłynął rumieniec.

Wiedziona szalonym impulsem pragnęła zacisnąć palce wokół jego dłoni i zobaczyć uśmiech na jego wargach. Ostatkiem woli nie dała się ponieść emocjom. Och, jakże łatwo przywiązywała się do Matthew! Teraz rozumiała, dlaczego Eve snuła się za nim jak cień.

Na samą myśl o tym, poczuła, jak wezbraną falą ogarnia ją gniew. W roztargnieniu potknęła się o wystający próg i była wdzięczna Matthew, że przytrzymał ją mocno za ramię.

- Potrzebujesz ustawicznej opieki, Sophie Grant - zakpił.

Gdy pili kawę, pojawił się osławiony oberżysta i zaczął ich raczyć niesamowitymi opowieściami z zamierzchłej epoki. Sophie słuchała z wypiekami na twarzy, a Matthew przyglądał jej się z pobłażliwym rozbawieniem.

- Widzę, że masz już lepszy humor - zauważył, gdy po kilku minutach wyszli na dwór. - Mój pomysł wypicia tu kawy okazał się zbawienny.

- Och, domyślam się przecież, że te historie są wysane z palca - usprawiedliwiała się. - Ale lubię niesamowite opowieści.

- Przypomnij mi o tym wieczorem. Sypię takimi historiami jak z rękawa.

- Pewnie ścierpie mi po nich skóra - burknęła, oburzona jego protekcjonalnym tonem.

- Jakież to smutne! - westchnął teatralnie. - Zaczynałem już mieć nadzieję, że wkradnę się w twoje łaski, a tymczasem słyszę, że jedynie potrafię wywołać u ciebie gęsią skórę...

- Miałam na myśli różne takie przerażające historie... Nie chodziło mi o twoje książki, które są przecież niesamowite... - Spojrzała mu w oczy i zamilkła speszona.

Z lekkim uśmiechem na twarzy stał przy samochodzie i przytrzymał jej drzwi. Spłonęła rumieńcem i szybko weszła do środka. Znów zrobiła z siebie idiotkę! Niepotrzebnie usiłowała przeciwstawić się mistrzowi.

- Lepiej, jeśli w ogóle przestanę się odzywać - wymamrotała, gdy usiadł za kierownicą.

- Tak będzie bezpieczniej - zgodził się z jadowitą uprzejmością. - Ale jednocześnie trochę szkoda, ponieważ może mi zabraknąć materiału do opisanie cię w mojej następnej książce.

Te słowa ją rozzłościły. Przeczytała wszystkie jego książki i zdawała sobie sprawę, że nie przypominała żadnej z jego bohaterek.

- Nie jestem wystarczająco przerażająca, by zadowolić twoich czytelników - parsknęła.

Obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- W pewnym sensie jesteś naprawdę przerażająca - mruknął.

Uruchomił samochód i nie odezwał się już ani słowem, aż dojechali do wysokich, kamiennych murów, za którymi kryła się ogromna posiadłość.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Matthew. - To właśnie szkoła Philipa.

Przejechali przez potężną, kutą bramę, a Sophie od razu poczuła bolesny skurcz w żołądku na widok masywnej budowli wyłaniającej się spoza drzew. Choć nigdzie nie widniał stosowny napis, wiedziała - instynktownie wiedziała - że tu mieściła się szkoła z internatem. Ponuro zacisnęła usta. Ileż lat dzieciństwa i młodości spędziła w podobnych miejscach! Specyficzną atmosferę internatu potrafiła wyczuć nawet w ciemności. Choć budynek sprawiał wrażenie luksusowego, choć wyczuwało się tu atmosferę komfortu, spokoju i porządku - mimo wszystko była to szkoła z internatem. Mieszkały tu dzieci z dala od swych rodziców i krewnych, z dala od ciepła domowego ogniska.

Serce Sophie krwawiło na samą myśl o małym chłopcu, choć go nawet nie знаła. Jak Matthew mógł do tego dopuścić?!

- Jak ci się tu podoba? - indagował Matthew.

- Duża rezydencja - powiedziała beznamiętnie. Czowała się ogromnie przygnębiona i już teraz ustawiła się po stronie Philipa, choćby nawet okazał się niegrzecznym, szkaradnym, małym potworkiem.

- Nigdy się nie poddajesz? - Jego głos był nabrzmiały gniewem.

- Zazwyczaj nie! - odburknęła, i to był koniec konwersacji.

Matthew wysiadł z samochodu i oparł się o maskę, całkowicie ignorując Sophie. Ona zaś, widząc, że dzieci zaczęły wychodzić na dziedziniec, wysiadła również i stanęła obok niego.

Z pewnością Philip okaże się nerwowym, zakompleksionym dzieckiem, pomyślała ze smutkiem. Dokładnie takim samym, jakim byłaby ona, gdyby nie jej duch buntu i niesubordynacja.

I nagle zza rogu wyłonił się uśmiechnięty mały chłopiec o zaskakująco jasnych włosach. Twarz jego przybrała zaciekawiony wyraz, gdy spostrzegł, że nie znana mu kobieta wchodzi w skład komitetu powitalnego.

- Philip! - powiedział Matthew czule.

Sophie z zainteresowaniem przyglądała się to ojcu, to synowi.

- Jakie ma cudownie jasne włosy... - szepnęła.

Między Matthew a Philipem nie widać było śladu podobieństwa

- Takie same jak jego matka - powiedział niechętnie Matthew. - Delphine była jasną blondynką...

Sophie dokładnie to pamiętała. Nagle zrozumiała, dlaczego Philip skazany został na szkołę z internatem. Matthew szaleńczo kochał zmarłą żonę i nie potrafił znieść widoku syna podobnego do niej jak dwie krople wody! To było zbyt bolesne, Philip więc musiał wyjechać...

Poczuła ostre ukłucie w sercu, ale gdy Philip zbliżył się i zobaczyła rozradowaną, uśmiechniętą twarzyczkę chłopca - chłopca, który w widoczny sposób tęsknił za ojcem - jej smutek przemienił się w złość. Złość na Matthew. Jakież miało znaczenie, co czuł do Delphine! Ona nie żyła, a ich synek żył i cierpiał w milczeniu. Pamiętała własny ból z dzieciństwa... Musiała to przerwać. Za wszelką cenę musiała temu zaradzić. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle ręka Matthew niczym żelazna obręcz zacisnęła się wokół jej ramienia.

- Uważaj, w jaki sposób przywitasz swego małego kuzyna, Sophie Grant!
- ostrzegł ją ostrym tonem.

- On wcale nie jest... - podjęła z pasją, ale Matthew wzmocnił uścisk aż do bólu.

- Pamiętaj, że ty stąd wyjedziesz, a nasze życie będzie toczyło się dalej. Nie próbuj więc niczego zmieniać. Pomyśl o statkach, które mijają nas w nocy...

- Statki, które mijają nas w nocy! - prychnęła. - Pamiętaj, że niektóre z nich to okręty wojenne!

Zerknęła na niego z ukosa, ale w odpowiedzi tylko uniósł czarną brew i popatrzył na nią lodowato, a potem odwrócił się do nadbiegającego Philipa.

- Ty jesteś Sophie! - zawołał chłopiec, przyglądając się badawczo jej twarzy i włosom. - Tato napisał mi, że u nas mieszkas. Och, jesteś śliczna... A twoje włosy płoną jak ogień!

- Być może, synku - bąknął Matthew. - Ale jedźmy już! - dodał głośniejszym głosem, gdy Sophie, która nagle odzyskała równowagę ducha, uśmiechnęła się radośnie do Philipa.

- Siadę z tyłu - oświadczyła. - Będiesz mógł usiąść koło taty...

- Wolę siedzieć z tyłu - rzekł Philip poważnym tonem. - Tak jest lepiej, ponieważ za bardzo się kręcę.

- To prawda - potwierdził Matthew. - Przykro mi, Sophie, ale jesteś na mnie skazana. - Z ironicznym uśmiechem otworzył jej przednie drzwi.

Sophie siedziała w milczeniu i zastanawiała się. Nie spodziewała się, że napisze o niej do Philipa? Od czasu do czasu rzucała na Matthew ukradkowe spojrzenie, ale on nieruchomo patrzył na drogę. Dłuższą chwilę jechali w ciszy, ponieważ Philip zatopił się w lekturze komiksu, który wyciągnął ze szkolnego plecaka. Na pozór stosunki ojca z synem układały się normalnie, myślała Sophie. Ale w oczach chłopca dostrzegła jakiś cień smutku, jakiś melancholijny wyraz, który mógł świadczyć, że dziecko jednak nie jest w pełni szczęśliwe.

Po kilku minutach Philip odłożył komiks i pochylił się do przodu.

- Zatrzymamy się coś zjeść, tato?

- Jasne! Wdepniemy tam, gdzie zwykle.

- W porządku. - Chłopiec opadł na fotel z wyrazem zadowolenia na buzi.

Nie uszło uwagi Sophie, że Philip był z ojcem w doskonałej komitywie.

Jeśli rzeczywiście działo się tu coś złego, to z pewnością nie dotyczyło to ich wzajemnych relacji. Mieli nawet swoje stałe miejsca, do których uczęszczali.

- O czym tak głęboko rozmyślasz? - spytał cicho Matthew. - Jeśli będziesz grzeczna, obiecuję, że pozwolę ci pobawić się z Philipem, gdy zatrzymamy się na posiłek.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Matthew - obruszyła się, zerkając na jego stanowczy, męski profil. - Od dawna jestem kobietą.

- Domyślam się. Szczególnie, gdy mówisz takim teatralnym, głębokim głosem. - Uśmiechnął się sam do siebie. - Jestem urodzonym sadystą, nie sądzisz?

Oczywiście, że nim był! Popatrzyła ze złością w bok. Musiała trzymać nerwy na wodzy, by - sprowokowana - nie palnąć czegoś, gdy tak bezlitośnie z niej drwił.

Zatrzymali się przed małym, wiejskim domkiem, nie przypominającym zajazdu ani restauracji. Philip wyskoczył z samochodu jak strzała i szybko otworzył jej drzwi.

- Chodź szybko, Sophie! - ponaglał niecierpliwie. - Tu jest kapitalnie!

Pociągnął ją za rękę, a gdy nieco wystraszona, spojrzała na Matthew, dostrzegła, że obserwuje ich z pobłażliwym uśmiechem.

- Bawcie się dobrze, dzieci - powiedział drwiąco, nie odrywając oczu od Sophie. - Zamówię tymczasem herbatę i słodkie bułeczki.

- Nie przejmuj się nim - poradził Philip nad wyraz poważnym tonem, prowadząc ją wzdłuż wysokiego żywopłotu okalającego parking. - Tato uwielbia drażnić się z ludźmi. To tylko znaczy, że cię lubi... Czasami potrafi być naprawdę nieznośny.

- Wobec ciebie też?

- Oczywiście, że nie! - wybuchnął radosnym, szczerym śmiechem. -

Chociaż nie zawsze dostaję to, co chcę - zasepił się nagle.

Sophie domyśliła się od razu, czego pragnął Philip. Chciał mieszkać w domu, a ojciec stale mu tego odmawiał. Cóż, będzie musiała wziąć sprawę w swoje ręce!

Gdy obeszli żywopłot i dostali się do wnętrza ogrodu, Sophie poczuła się nagle jak Guliwer w świecie liliputów.

- To miasto w miniaturze - oznajmił podniecony Philip, a Sophie, jak urzeczona, oglądała maleńkie kościoły, domki i ulice kornwalijskiego miasteczka sprzed wieków. - Och, mógłbym tu siedzieć godzinami. To moje ulubione miejsce!

Wkrótce obydwójce na czworakach zagłądali do okien miniaturowych domków będących doskonałą kopią prawdziwych.

- To miasto skonstruował dziadek obecnego właściciela i praca ta zajęła mu dwadzieścia lat - objaśnił Philip. - Brakuje tu tylko ludzi, prawda? Nikt nie wie, czy to miasto istniało naprawdę... Próbowaliśmy z tatą je odnaleźć, ale na razie nam się nie udało. Jakiś czas temu myśleliśmy, że to Launceston, ale przecież tu nie ma zamku.

- Czy tata często tu z tobą przyjeżdża? - spytała, a Philip popatrzył na nią z politowaniem.

- Oczywiście! - zapewnił wyniośle. - Jemu też się tu podoba. Ciebie też tutaj przywiózł, widzisz? On jest bardzo miły, naprawdę. - Zamyślił się na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów i dodał: - Tylko już ma taki trudny charakter. Lubisz go, prawda?

- Był dla mnie bardzo uprzejmy - odrzekła z pewną rezerwą, najwyraźniej zaskoczona szczerością pytania. - Pozwolił mi zostać z wami do września.

Czy lubiła Matthew? - zastanawiała się gorączkowo. Oczywiście, że go polubiła. Nie mogła przecież okłamywać samej siebie.

- A co będziesz robić potem? - indagował Philip, patrząc na nią swymi błękitnymi oczami równie badawczo jak jego ojciec.

- Będę studiowała - oświadczyła stanowczo. - Gdy byłam młoda, pracowałam zamiast iść na uniwersytet. Teraz chcę od nowa rozpocząć naukę.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz, żeby znów tobą ktoś rządził - powiedział z miną człowieka dorosłego.

- Nie ze mną takie numery! - rzekła stanowczo, a w oczach chłopca dojrzała niemy podziw.

- No tak - odezwał się z uśmiechem. - Zapomniałem, że jesteś ruda, a ludzie o takich włosach podobno są bardzo zdecydowani i gwałtowni. - Przechylił głowę i przyglądał jej się uważnie. - W domu był kiedyś taki duży obraz przedstawiający kobietę podobną do ciebie...

- Portret? - spytała zaciekawiona. Z pewnością chodziło chłopcu o wizerunek jej babki.

- Chyba tak... Pamiętam, że był tam jeszcze przed moim wyjazdem do szkoły.

- Odnajdziemy go, zgoda? - powiedziała z entuzjazmem.

- Fajnie! Pewnego dnia, gdy będzie padać deszcz, pójdziemy i przeszukamy strych. Tak robią w książkach, wiesz? - Wyciągnął do niej rękę.

Gdy z poważnymi minami potrząsali dłońmi, Sophie podniosła wzrok i zauważyła Matthew, który przyglądał im się z kwaśną miną.

- Podano już herbatę - zawiadomił, patrząc to na jedno, to na drugie.

Sophie wstała, otrzepała dzinsy z trawy, a Philip pobiegł w podskokach do stolika.

- Co knuliście? - spytał cicho Matthew.

- Nic! - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami dziecka.

- Będę musiał cię lepiej pilnować - powiedział, biorąc ją pod rękę i prowadząc do kawiarenki.

- Nie przejmuj się mną - powiedziała pospiesznie. - Po prostu nie zauważaj mnie.

Mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu i szepnął jej do ucha:

- Usiłowałem, ale nic z tego. Muszę cię pilnować i już. Przyciągasz moją uwagę, gdziekolwiek jesteś... Być może to wina twoich płomiennych włosów...

- Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz... - zaczęła stanowczo, ale czuła, że kolana się pod nią nagle ugięły. Jak dobrze, że Matthew przytrzymał ją za ramię!

- Jesteś za młoda, aby wszystko zrozumieć - westchnął dramatycznie. - Cóż, mam teraz pod opieką dwoje dzieci.

- Przestań! - syknęła, rzucając mu niechętne spojrzenie, a on uniósł dłoń i pogładził jej zaróżowiony policzek.

- Usiłuję, Sophie. Nie masz pojęcia, jak bardzo się staram.

Gdy dotarli do stolika, czuła w głowie kompletny zamęt, Nie pojmowała, co Matthew miał na myśli... Ale jednego była pewna: stanowczo za bardzo lubiła, gdy ją dotykał... Och, powinna natychmiast wracać do Londynu!

Ale teraz był jeszcze Philip... Zanim stąd wyjedzie, musi zrealizować swój plan i sprowadzić Philipa na stałe do Trembath. W pobliżu na pewno była jakaś porządna normalna szkoła...

W ciągu następnych dni Sophie coraz lepiej poznawała Philipa. W obecności chłopca czuła się w Trembath raźniej i bezpieczniej. Rzadko teraz przebywała z Matthew sama. Nawet kolację podawano wcześniej, by Philip mógł im towarzyszyć, Chłopiec był rozmowny, rezolutny i na pozór wesoły, ale gdzieś w głębi jego jasnych oczu Sophie dostrzegała cień smutku.

- Jak cię nazywają w szkole? - spytała pewnego popołudnia, gdy bawili się w ogrodzie, a Matthew pracował zamknięty w swym gabinecie.

- Nauczyciele mówią do mnie Philip, ale chłopcy nazywają mnie Pip... To znaczy moi kumple tak mówią, bo starsi wołają do mnie Trevelyan.

Jakież to typowe! Sophie skrzywiła się lekko na wspomnienie własnych szkolnych doświadczeń.

- Czy mogę więc mówić do ciebie Pip? - spytała po chwili, a Philip zgodził się z entuzjazmem.

- Bardzo lubię to zdrobnienie - powiedział. - Ale tata nigdy go nie używa. Jeśli jednak ty zaczniesz, może on też się przekona.

Mało prawdopodobne, pomyślała Sophie. Imiona i zwracanie się do siebie stanowiło w tym domu oczywisty problem. Sama musiała nalegać, by nazywano ją Sophie... Matthew twierdził, że wymawia jego imię głębokim, ochryplym głosem, a Bidy... Cóż, nie udało jej się jak dotąd nakłonić Bidy, by zwracała się do niej po imieniu.

Tego popołudnia zadzwoniła Esther i przekazała wspaniałe nowiny.

- Wyobraź sobie, że zdecydowaliśmy się przyspieszyć datę ślubu - paplała. - Patrick dostał ofertę pracy w szpitalu na północy!

- Ależ to już w następny weekend! - Sophie nie kryła oszołomienia. - Czy nadal jestem druhną?

- Oczywiście! Twoja sukienka jest już na ukończeniu. Mam nadzieję, że nie utylaś za bardzo na tych kornwalijskich bułeczkach.

- Jakoś się wcisnę... Ale jak ja dojadę? - zaniepokoiła się Sophie. Poza tym nie miała w Londynie u kogo przenocować...

- A może ten wspaniały Matthew cię przywiezie? - podsunęła Esther. - Umieram z ciekawości, by go poznać.

- Jest bardzo zajęty pisaniem nowej książki - wykręciła się szybko Sophie. Nie mogła przecież prosić Matthew o podwiezienie. To by było nadużywaniem gościnności. - Przyjadę pociągiem - powiedziała, zastanawiając się gorączkowo, skąd weźmie pieniądze na podróż. Miała bardzo skromne oszczędności, tak skromne, że mogły nawet nie starczyć na bilet.

Gdy odłożyła słuchawkę i w zamyśleniu maszerowała przez hol, prawie zderzyła się z Matthew.

- Co się stało? - Przytrzymał ją za rękę.

- Dzwoniła Esther. Wychodzi za męża, a ja jestem jej druhną i muszę w przyszły weekend pojechać do Londynu - powiedziała szczerze.

- Chodź na chwilę do mojego gabinetu - poprosił. - Pewną sprawę powinienem załatwić od razu, ale jakoś uszła mojej uwagi.

Stała niepewnie przy drzwiach, podczas gdy on podszedł do swego ogromnego biurka.

- Wejdz, przecież cię nie ugryzę. - Popatrzył na nią ironicznie i Sophie z pewnym ociąganiem weszła do środka.

Tu tworzył swoje książki. Sophie nie śmiała się rozglądać. To był jedyny pokój na dole, którego nie widziała. Sanktuarium Matthew...

Patrzył na nią z narastającą niecierpliwością.

- Czujesz się jak w jaskini lwa? - zakpił. - Och, stale coś utrudniasz. Wystarczy mi na ciebie spojrzeć, a już wiem, że czeka mnie kolejna sprzeczką.

- Wszystko zależy od tego, o czym chcesz ze mną rozmawiać.

Kąśliwa uwaga, że stale coś utrudnia, niestety trafiła w sedno. Gdyby pilnowała swego nosa i nie wtrącała się w jego sprawy, nie dochodziłoby do sprzeczek. Sophie obarczała za to winą swój gwałtowny temperament i niewyparzony język.

- Od razu, gdy przyjechałaś, miałem zamiar założyć ci konto w banku - oświadczył niespodziewanie.

- Mam już konto w banku - przerwała mu szybko. Na miłość boską, chyba nie zamierzał dawać jej pieniędzy! Czowała się wystarczająco upokorzona, że musiała zdać się na jego łaskę.

- Być może masz konto - powiedział - ale czy masz na nim choć trochę grosza?

- Mam... - Unikała jego spojrzenia. - To ładnie z twojej strony, że spytałeś... - wymamrotała - ale nie jesteś w ogóle za mnie odpowiedzialny, nawet... nawet jeśli pozwoliłeś mi czasowo zamieszkać pod swoim dachem i...

- Robisz z igły widły - rzekł zimno. - To uczciwa oferta, a ty robisz z niej wielką sprawę. Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że czasami wypada okazać wdzięczność? Doskonale wiem... wiemy oboje, że jesteś w rozpaczliwej sytuacji. Jeśli miałabyś pieniądze, wynajęłabyś kolejne mieszkanie w Londynie i w żadnym razie nie skorzystałabyś z mojego zaproszenia. Proponuję ci więc pewną kwotę na osobiste wydatki.

- Nie! - ucięła dalszą dyskusję. - Wystarczy, że godzisz się na moją tu obecność, mimo że wyraźnie ci przeszkadzam. Poradzę sobie jakoś z tym, co mam.

- A jak zamierzasz dostać się do Londynu? - spytał chłodno. - I gdzie chcesz się tam zatrzymać? U swojego chłopaka? Wątpię, skoro nie zatrzymał cię, nim tu przyjechałaś.

- Jeśli o to chodzi, poprosił mnie o rękę! - powiedziała wojowniczo, ale Matthew tylko sceptycznie uniósł brew.

- Cóż więc się stało? Czyżby przetrzymanie cię do września wymagało od niego zbyt dużego poświęcenia?

- Zamażpójście nie leżało w moich planach. Chcę zrobić coś z własnym życiem i zacząć studia.

Zdesperowana odwróciła się do drzwi, ponieważ udało mu się ją dotknąć; była bliska łez i czuła, że za chwilę wybuchnie. Och, jakże mógł żądać, by w tak żenującej sytuacji potrafiła zachować się elegancko i okazała mu wdzięczność. Przede wszystkim nie czuła doń szczególnej wdzięczności... Całe życie musiała walczyć o wszystko i nikomu nic nie zawdzięczała, nie przywykła więc do takich kurtuazyjnych zachowań.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- W porządku, Sophie. - Matthew chwycił ją za rękę, gdy zamierzała otworzyć drzwi. - Wiem, że jesteś upartą kobietą o stalowej sile woli. Odłóżmy kwestię pieniędzy na bok.

Pragnęła się stąd czym prędzej wydostać i myślała o trzech sprawach naraz - jak elegancko stąd wyjść, jak potem spojrzeć Matthew w twarz oraz w jaki sposób dostać się do Londynu, nie przyjmując od niego pieniędzy.

Nagle otoczył ją ramieniem i odwrócił do siebie.

- Zabiorę cię do Londynu - oświadczył. - Akurat muszę tam pojechać, więc będziemy podróżować razem.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. Jeśli naprawdę miał własne sprawy do załatwienia w Londynie, nie było to z jego strony wielkim poświęceniem... Wiedziała, że w środę Philip wraca do szkoły, wszystko więc wyglądało prawdopodobnie.

- Przestań we wszystkim doszukiwać się podstępów - powiedział zniecierpliwionym tonem. - Obiecuję, że zawiozę cię do Londynu, zgoda?

- Powinna być tam kilka dni wcześniej... - stwierdziła niepewnie. - Muszę przymierzyć sukienkę i gdyby nie pasowała...

- Nie ma problemu. Odwieziemy Philipa do szkoły w środę i prosto stamtąd pojedziemy do Londynu.

- Zgoda - przytaknęła. A więc pozostał tylko problem, gdzie się zatrzyma... - Porozmawiam jeszcze o tym z Esther.

Nadal na nią patrzył, przesuwał nieznacznie palcami po jej smukłych ramionach. Choć zdawała sobie sprawę, że czyni to bezwiednie, jego dotyk sprawiał jej ogromną, grzeszną przyjemność. Stała ze spuszczoną głową, by nie wyczytał z jej oczu żadnych emocji. Na dźwięk zduszonego śmiechu przeszył ją dreszcz.

- Jesteś przedziwną osobką, Sophie - powiedział. - I nigdy nie wiem, co o tobie myśleć.

- Wyjadę, nim się dowiesz - mruknęła, a on znowu zacisnął dłoń na jej ramieniu, po czym nagle otworzył przed nią drzwi.

- Och, z pewnością się dowiem. Wszyscy się dowiemy. Nie jestem pewien, czy wniosłaś do tego domu słońce czy burzę, ale niewątpliwie zrobiłaś wrażenie. Kim dla nas byłaś, dowiemy się, gdy znikniesz z naszego życia.

Uciekła. A więc uważał ją za kłopotliwą panienkę wścibiającą nos w nie swoje sprawy! Och, dlaczego nie potrafiła zachowywać się taktownie i zajmować tylko sobą? Dlaczego jego życie tak bardzo ją obchodziło! Nie powinna zapominać, że kiedyś bardzo kochał żonę i zapewne cierpiał po jej śmierci, teraz zaś związał się z Eve Corwin... To było jego życie i jego świadome wybory... Pozostawał tylko Philip... O Philipie nie mogła zapomnieć, nawet jeśli nie była to jej sprawa.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Następnego dnia Philip wyglądał jak siedem nieszczęść i po długich namowach wreszcie wydobyła z niego prawdę. Tak jak się spodziewała, chłopiec nie chciał wracać do szkoły.

- Masz jakiś szczególny powód? - indagowała ostrożnie.

- Mam złe wyniki w sporcie - wyznał ze zboląłą miną.

- Mnóstwo ludzi nie ma sportowych talentów - pocieszała - za to wybijają się w innych dziedzinach.

- Też tak myślałem - szepnął zakłopotany. - Bardzo lubię przedmioty artystyczne... I wszystko dobrze się układało, aż do chwili...

- Co się takiego stało, Pip? - podjęła.

- Aż pojawił się nowy nauczyciel wychowania fizycznego, pan Rowe... On krzyczy na mnie przez całe boisko i...

- Gdyby nie krzyczał, nie usłyszałybyś go. - Sophie próbowała zachować rozsądną postawę i nie reagować pochopnie. - Nauczyciele w zwykłe używają gwizdka i krzyczą. Tacy już są.

- Ale on krzyczy tylko na mnie! - powiedział z urazą Philip. - I czuję się wtedy bardzo głupio.

Sophie po krótkim namyśle doszła do wniosku, że nie powinna się wtrącać i znów denerwować Matthew. Może się przecież okazać, gdy Philip przyjedzie następnym razem, że wstrętny pan Rowe stał się jego bohaterem...

- Od jak dawna pracuje w waszej szkole? - spytała ostrożnie.

- Od trzech tygodni.

- Pewnie chce się wykazać, jaki jest wspaniały - orzekła uspokajająco. - Daj mu trochę czasu, Pip. Zobaczysz, że złagodnieje.

Philip pociągnął nosem i odwrócił się gwałtownie.

- Chodźmy na plażę pobawić się latawcem - zaproponował.

Dlaczego nie zwierzył się ojcu ze swoich problemów? - zastanawiała się przez całą resztę dnia. Odniosła okropne wrażenie, że zawiodła Pipa. To uczucie nie dawało jej spokoju przez cały wieczór. W dodatku rozpętała się burza, a jej podniecające odgłosy rozpraszały i odrywały od nauki. W końcu z niespokojnym sercem zeszła do salonu.

Tu było ciszej i przytulniej. Wiedziała, że Matthew pracuje w swoim gabinecie. Na większość dnia tam się zamykał i to również ją denerwowało. Uważała, że więcej czasu powinien spędzać z synem. A on, jak na złość, był całkiem nieuchwytny. Domyślała się dlaczego; chłopiec za bardzo przypominał mu Delphine... Wyglądało na to, że gdyby jej tu nie było, szkolne ferie Pip spędziłby całkiem sam.

Pip potrzebował matki... Na samą myśl, że rolę tę mogłaby pełnić Eve, Sophie zatrzęsała się ze złości. Oczywiście, był to absurd. Eve przecież była mężatką... Ona zaś, Sophie... Ona była jak statek, który mija nas nocą... Tak ją określił Matthew. I zapewne miał rację. Gdy stąd wyjedzie, nigdy już się nie zobaczą.

Westchnęła i wtuliła policzek w miękkie obicie kanapy. Nie powinna tu w ogóle przyjeżdżać... Matthew wniósł zamęt w jej uporządkowane życie i sprawy

nigdy nie wrócą już do punktu wyjścia. Zawsze pamiętać będzie o Matthew i Trembath...

Usłyszała jakiś cichy szmer; podniosła głowę i zobaczyła Matthew stojącego w drzwiach. Obserwował ją z chłodną ironią.

- Cóż za westchnienia płynące z głębi serca! - powiedział.

- Masz jakieś problemy, Sophie?

- Nie - zaprzeczyła spłoszona.

- A więc ćwiczyłaś wzdychanie na wypadek, gdyby się znów pojawiły.

Rozumiem. - Wykrzywił usta i znów patrzył na nią z tym nieznośnym wyrazem rozbawienia na twarzy.

- To Pip ma problemy - oświadczyła rozzłoszczona jego spojrzeniem i zaraz ugryzła się w język, ale było już za późno, by cofnąć słowa.

- Znasz kogoś o imieniu Pip?

- Philip lubi to zdrobnienie - oświadczyła, tłumiąc w sobie narastającą złość. Przecież wiedział doskonale, o kim mówiła!

- Ustaliliśmy to wspólnie. Ostatecznie to jego imię, prawda? Przyjaciele tak go nazywają.

- Doskonale. - Wszedł do pokoju i niedbałym ruchem zatrzęsął za sobą drzwi.

Wyglądał groźnie, nieprzejednanie; Sophie od razu poczuła się jak w pułapce, a cała jej zuchwałość wyparowała z niej.

Miała wrażenie, że zakrada się ku niej jak wielki, dziki kot. W pokoju paliły się tylko dwie lampy, w przyćmionym świetle bursztynowe oczy Matthew świeciły nienaturalnym blaskiem.

- Skoro więc uważasz się za jego przyjaciółkę - rzekł z przekąsem - wytłumacz mi, na czym polega jego problem?

- Dlaczego... dlaczego sam go o to nie spytasz? - wyjąkała zakłopotana. - Przecież to twój syn.

- Pytam ciebie, Sophie - powtórzył z naciskiem. - To ciebie znalazłem wzdychającą żałośnie na kanapce, naturalne więc, że chcę wiedzieć dlaczego.

To wcale nie było naturalne. Serce waliło jej jak młotem, ponieważ Matthew pochylał się nad nią coraz niżej.

- On nie lubi szkoły! - wybuchła wreszcie zdławionym głosem. - Dokuczają mu tam!

- Wyśmiewają się z niego? - Zmarszczył ciemne brwi i przyglądał jej się z uwagą. - Bądź łaskawa mi to wyjaśnić.

- Nie chodzi o kolegów! Chodzi o nauczyciela wf. Zdaje się, że zrobił z Pipa klasowego ciamajdę. Wrzeszczy na niego i go upokarza.

- O ile sobie przypominam, nauczyciele wf zwykle krzyczą, gdy wydają komendy.

- Ale tu nie chodzi o zwykłe komendy - upierała się Sophie.

- A co on ci powiedział? - Twarz Matthew wyrażała teraz znużenie, jakby rozmawiał z osobą niespełna rozumu.

Sophie podniosła się z kanapy, nie zwracając uwagi, że Matthew znajdował się tak blisko niej.

- Nic nie powiedział! - rzekła ze złością. - Pip nie zwierzył mi się do końca, ponieważ usiłowałam zachować rozsądek i... i zbyłam go jakimiś frazesami. - Spojrzała ostro na Matthew. - On już był bliski otwarcia się przede mną, a ja go zawiodłam. Dlatego właśnie wzdychałam. Och, Philip jest nieszczęśliwy, bo...

- Philip nie jest nieszczęśliwy - rzekł Matthew z naciskiem, a w jego oczach pokazało się teraz coś więcej niż zwykle ostrzeżenie.

- Co ty w ogóle wiesz! - zaperzyła się. - Siedzisz tylko w swoim, gabinecie i nigdy stamtąd nie wychodzisz! Pip jest nieszczęśliwy, ponieważ musi wracać do szkoły!

- Daj spokój! - rozkazał. - To nie twoja sprawa! - Odwrócił się, żeby wyjść, gdy dobiegł go z tyłu jej wściekły szept:

- Dobrze, dam sobie spokój, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli popadniesz w kłopoty. Nie miej do nikogo pretensji, jeśli stracisz kontakt z Pipem. Powinien tobie opowiedzieć o swoich problemach, a nie całkiem obcej osobie! Och, wiem, co to znaczy być nieszczęśliwym...

- Dopiero się dowiesz, jak nadal będziesz się wtrącać! - zagroził.

- To ty przegrasz, gdy Pip zamknie się w sobie - ciągnęła zajadle. - Nawet nie spostrzeżesz, gdy to się stanie. Jesteś nieczuły jak kij!

Odwrócił się do niej z furią. Gdyby zachowała choć odrobinę rozsądku, z pewnością by uciekła, ale ona nie mogła się pohamować, i gdy krzykiem nakazał jej milczenie, rzuciła się na niego z pięściami.

Chwycił ją mocno za ramiona. Przez cieką wełnę swetra czuła bolesny ucisk jego palców. Gdy przyciągnął ją bliżej do siebie, nie mogła nawet się bronić.

- Nieczuły jak kij? - burknął pod nosem. - Widać taki jestem, skoro zgodziłem się trzymać cię u siebie w domu. I nie pozwolę ci wyjechać, zostaniesz i zaczniesz zachowywać się przyzwoicie! Staniesz się bardziej uległa, Sophrino...

Otworzyła usta, żeby wściekle zaprotestować, ale nim zdążyła dobrać głosu, Matthew brutalnie przywarł ustami do jej warg, nie dając jej żadnej szansy ucieczki.

Gdy poczuła twarde mięśnie jego ciała tuż przy swoim ciele, wpadła w panikę. Matthew nie miał do tego prawa... Nic ją z nim nie łączyło, by miał prawo ją całować! Zdawał się nie zważać, czy sprawia jej ból - wydawało się, że chce ją dotknąć, obrazić... Myśli tłukły jej się po głowie w szalonej gonitwie. Instyktownie czuła, że Matthew pogardza samym sobą za tę bezlitosną karę, którą jej wymierzał. Ale nie przestał, dopóki Sophie nieomal omdlała w jego ramionach. Nigdy jej w ten sposób nie całowano. Pocałunki Andy'ego nie doprowadzały jej do takiego stanu, że drżała, że na przemian robiło jej się zimno i gorąco...

Jeszcze przez chwilę trzymał ją w ramionach, lekko przesuając wargami po jej ustach - niespiesznie, czule i badawczo zarazem, aż wreszcie z pomrukiem zniecierpliwienia odsunął ją od siebie.

- I nie spodziewaj się przeprosin - powiedział ochryple, mierząc ją twardym wzrokiem, i obserwując, jak jej fiołkowe oczy robią się okrągłe jak spodki. - Wtrąciłaś się w nie swoje sprawy, ośmieliłaś się mnie krytykować, a nawet uderzyć. Zapamiętaj wreszcie, że jesteś tu tylko czasowo. Masz swoje plany, a ja mam swoje. Być może polubiliście się z Philipem, ale nie będziesz miała żadnego wpływu ani na jego życie, ani na moje. Nie zapominaj o tym!

Patrzyła nań, wstrząśnięta do głębi. Nie pojmowała, dlaczego straszliwy ból rozdarł jej serce.

- Już o tym wspominałeś - wyjąkała słabym głosem. - Statki, które mijają nas nocą... W porządku, nie zostanę długo. Ten statek zniknie z horyzontu, nim zdążysz się zorientować.

Odwróciła się i wyszła z podniesioną głową, mając nadzieję, że Matthew nie zauważy, jak bardzo nogi się pod nią uginały.

Pobiegła do swego pokoju i długo siedziała przed lustrem, przypatrując się swojej twarzy, na której nie widać było ani śladu łez, ani grymasu złości. Po prostu przeżyła szok. Nikt przedtem tak jej nie potraktował i dlatego teraz z taką dociekliwością rozpamiętywała wrażenia minionych chwil, zwłaszcza tej ostatniej - gdy wargi Matthew pieściły delikatnie jej usta, zanim gwałtownie się od nich oderwały...

Odwróciła się od lustra z uczuciem niechęci do samej siebie. Musiała być szalona, dopatrując się w tej poniżającej, upokarzającej karze czegokolwiek innego... Powinna stąd natychmiast wyjechać!

Nagle zaświtał jej w głowie pewien plan. Podczas wesela napomknie o swej sytuacji szerszemu gronu znajomych i poczeka na ich reakcję. Może ktoś wystąpi z sensowną propozycją pomocy? I wtedy, być może, uda jej się opuścić

Trembath przed wrześniem... A może znajdzie pracę i przeżyje czas do początku roku szkolnego o własnych siłach?

Na moment pomyślała o pieniądzach pozostawionych przez rodziców. Może mogłaby je otrzymać w takiej nadzwyczajnej sytuacji życiowej? Choć przysięgała kiedyś, że ich nie tknie, teraz zmieniła zdanie. Dziecinne urazy minęły, a upór niczego dobrego nie przyniósł jej w życiu...

Deszcz nadal smagał szyby, a huk morza był niemal ogłuszający. Stała przy oknie i dłuższą chwilę starała się przeniknąć wzrokiem ciemność. Ogarnęło ją dziwne, przyjemne podniecenie. Czy tak samo czuła się tu jej babka? Czy ona również z taką rozkoszą wsłuchiwała się w odgłosy niepokornego żywiołu?

Zadumana wślizgnęła się pod kołdrę. Nie powinna zapominać, że jej babka była tu nieszczęśliwa. Może Matthew zachowywał się równie okrutnie jak jego ojciec? Potrząsnęła głową. Nie, on taki nie był... Jego oczy i usta zbyt często się uśmiechały... Po prostu tęsknił za swoją żoną i ten prosty fakt wszystko wyjaśniał.

A jeśli chodzi o nią... Cóż, byli do siebie zupełnie niepodobni, a jej ustawiczne wtrącanie się w jego sprawy dobitnie pogarszało sytuację. Od razu po przyjeździe popełniła gafę, pytając o Delphine... Z pewnością nie mógł jej tego wybaczyć.

Zasypiała, snując plany, które jeszcze bardziej pogarszały jej nastrój. W głębi duszy wiedziała, że nie ma ochoty opuszczać Trembath. Niesamowity dom i jego nieznośny właściciel zapadli jej głęboko w serce.

Następnego dnia siąpił deszcz. Sophie starała się skupić nad książkami, ale szare, zapłakane niebo i żalosne zawrota w oczach rozpraszały uwagę. Przez cały poranek dokładała wszelkich starań, by uniknąć spotkania z Matthew i jak dotąd jej się to udało. Teraz więc również nie zamierzała wychodzić.

Była jednak zadowolona, gdy wczesnym popołudniem Pip zapukał do drzwi i zobaczyła jego uśmiechniętą twarzyczkę.

- Co będziemy dziś robić, Sophie? - spytał poufnym tonem. - Pamiętasz, umawialiśmy się, że w któryś deszczowy dzień przeszukamy strych, aby odnaleźć ten duży obraz?

- Oczywiście! - powiedziała z udawanym entuzjazmem, ale myśl o przeszukiwaniu strychu bez pozwolenia Matthew napawała ją lękiem. Jednak pytanie go o pozwolenie także nie wchodziło w grę... Mimo to rzuciła jakby od niechcienia: - Nie uważasz, że powinniśmy poprosić ojca o pozwolenie?

- Och, Sophie! - Popatrzył na nią z ubolewaniem. - Przecież to także mój dom. I mogę robić tu wszystko, co chcę, z wyjątkiem rzeczy niebezpiecznych. Tato powiedział mi o tym już bardzo dawno temu!

Sophie nie miała wyboru, niemniej jednak stale oglądała się przez ramię, gdy wspinali się na wyższe piętro, gdzie znajdowały się trzy nie używane sypialnie. Uspokoila się dopiero, gdy dotarli do drzwi, za którymi znajdowały się strome schody na strych.

Pokonawszy ostatni stopień, Sophie weszła do ogromnego pomieszczenia, które zdawało się rozciągać na całą długość domu. W oświetleniu zwisających z sufitu żarówek wewnątrz wyglądało dosyć upiornie.

Pip od razu rozpoczął poszukiwania i szybko zaraził ją swym entuzjazmem.

- Zobacz, co znalazłem, Sophie! - zawołał podekscytowany. - Tylko spójrz! - Podniósł do góry stary, mosiężny teleskop. - Mógł kiedyś należeć do piratów albo przemytników, no nie?

- Zbyt duży jak na ich potrzeby - odrzekła stremowana, nie przestając myśleć, że Matthew lada moment wpadnie tu i ich nakryje. - Lepiej znajdziemy ten portret i chodźmy stąd - dodała.

- Ale z ciebie tchórz! - pisnął wesoło Pip, nie ustając w poszukiwaniach.

- Wcale nie! - broniła się, urażona. - Po prostu mam jeszcze mnóstwo pracy.

Pip wspiął się na jedną ze skrzyń i przez teleskop obserwował niespokojne morze, a Sophie z coraz większym zapalem otwierała zakurzone kufry i pudełka. Wreszcie dotarła do starego drewnianego stelaża, o który oparto kilka dużych obrazów. Każdy był starannie zapakowany, musiała więc ostrożnie jeden po drugim odwinąć je z papieru. I nagle serce zabiło jej gwałtownie. Gdy tylko ujrzała brzeg złoconej ramy, wiedziała, że natrafiła wreszcie na to, po co tu przyszła.

Kobieta była rzeczywiście piękna... Miała taką samą jak Sophie karnację, fiołkowe oczy i lśniące, rude włosy. Z pewnością portret namalowano, zanim zapadła na zdrowiu, ponieważ uśmiechała się z wdziękiem i sprawiała wrażenie istoty pełnej życia i optymizmu. W tle widniał skrawek nieba i dzikie, kornwalijskie morze, którego fale uderzały o piaszczysty brzeg.

To był cudowny, fascynujący obraz i, mimo że nigdy nie poznała swej babki, słowa Matthew tak głęboko zapadły jej w serce, że teraz oczy jej wypełniły się łzami.

- Margaret... - obok niej cicho stanął Matthew i patrzył na wizerunek kobiety, którą niegdyś uwielbiał. - Margaret Grant, zanim jeszcze została Margaret Trevelyan.

- Była piękna... - wyszeptała Sophie, bojąc się podnieść głos, by oczy Matthew nie utraciły tego pełnego nostalgii wyrazu, by nie stały się znów ostre i karcące.

- Tak jak ty - przyznał cicho. - Nie pojmuję, jak Quentin mógł trzymać cię z dala od siebie. Jak mógł posłać cię do szkoły z internatem i nigdy cię nie widywać! On przecież tak bardzo kochał matkę...

- Ludzie robią dziwne rzeczy z różnych powodów - zaryzykowała i podniosła wzrok.

Powinien zrozumieć aluzję... Być może jej ojciec tak właśnie uczynił, ponieważ zbyt boleśnie przypominała mu matkę. Matthew powinien o tym wiedzieć lepiej. Czyż nie wysłał Pipa tak daleko, ponieważ nazbyt żywo

przypominał mu Delphine? Właściwie w ogóle nie był podobny do Matthew... Był zaskakująco jasny, a jego niebieskie oczy w niczym nie przypominały ciemnych, ponurych oczu Trevelyanów.

- Być może - odparł Matthew i uśmiechnął się nieoczekiwanie. -

Wyglądasz jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, Sophie - powiedział niemal pieszczotliwie. - Nie bój się, Już mi przeszła złość. Wczoraj wieczorem zachowałem się dość nietypowo... Nie jestem męskim szowinistą, choć przyznaję, czasami ponoszą mnie nerwy.

- Już zapomniałam o wczorajszym wieczorze - skłamała nieprzekonywująco. - Obawiałam się tylko, czy Pipowi wolno tu przebywać...

Obydwoje spojrzeli na Philipa, który jak urzeczony wypatrywał czegoś przez teleskop.

- Oczywiście - uspokoił ją Matthew. - W pochmurny dzień to wymarzone miejsce do zabawy. Razem z Quentinem spędzaliśmy tu mnóstwo czasu. Jeśli masz ochotę, możesz poszukać naszych starych zabawek...

- Nie, dziękuję - powiedziała wymijająco. - Chciałam tylko odnaleźć portret, o którym wspomniał mi Pip... Powiedział, że kobieta na obrazie była do mnie podobna, więc przypominałam sobie, że ty również powiedziałeś, że... - plątała się bezradnie.

- ...że przypominasz mi twoją piękną babkę - dokończył za nią. - I co zamierzasz teraz robić, skoro już znalazłaś obraz?

- Och, mam mnóstwo nauki. Czas tak szybko mija i we wrześniu może się okazać, że nie jestem gotowa.

- Nie zatrzymuję cię - powiedział nieoczekiwanie ostrym tonem.

- Ale Pip... - zaczęła, nie wiedząc, co począć.

- Nie jesteś jego niańką - rzekł opryskliwie. - Philip często tu zagląda i potrafi bawić się sam.

Odwrócił się i podszedł do syna, a Sophie patrzyła rozgoryczona na jego plecy. Czuła się całkiem odtrącona, zepchnięta na boczny tor.

Powoli zeszła na dół i na resztę dnia zamknęła się w swoim pokoju. Oczywiście, że miał prawo spędzić trochę czasu sam na sam z synem, rozmyślała. Dobrze, że się zdecydował. Lepiej późno, niż wcale.

Przy kolacji Matthew zachowywał się uprzedzająco grzecznie, ale to tylko pogarszało ciężką atmosferę. Ucieszyła się więc, gdy zaraz po posiłku zamknął się w swoim gabinecie i więcej już nie wyszedł.

Gdy Pip położył się spać, Sophie została jeszcze czas jakiś przed telewizorem, ale burza uszkodziła antenę i obraz bardzo się pogorszył. Zrezygnowana, poszła na górę.

W chwili gdy stanęła na progu swego pokoju, już wiedziała, że zaszła tu jakaś zmiana. Rozejrzała się niepewnie, ale dopiero gdy weszła do środka i spojrzała na ścianę przy drzwiach, zamarła z wrażenia. Naprzeciw łóżka wisiał portret jej babki i tylko Matthew mógł go tutaj powiesić! Na widok starannie oczyszczonego i pieczołowicie umieszczonego na ścianie obrazu serce podskoczyło jej z radości.

- Czy lady Sophrina jest zadowolona? - Matthew z półuśmiechem na twarzy pojawił się w drzwiach i teraz stał oparty o ich framugę.

- Och, tak! - Popatrzyła nań oczami iskrzącymi się ze szczęścia. - Czy mogę go zatrzymać aż do wyjazdu?

- Możesz go zatrzymać na zawsze, Sophie - powiedział miękko.

- Ale... ale to jest portret rodzinny...

- Portrety rodzinne, jak zapewne zauważyłaś, nie mają dla mnie specjalnego znaczenia - oznajmił, wchodząc do pokoju. - Poza tym Margaret tak naprawdę nie należała do mojej rodziny, choć bardzo chciałem, aby tak było... Należała do Quentina, a teraz należy do ciebie.

- Przykro mi... - bąknęła. - Przykro mi, że tak się stało...

- Nic już tego nie zmieni - rzekł ze smutkiem. Nagle odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. - Wniosłaś iskierkę życia do Trembath, Sophie, ale

niedługo stąd wyjedziesz... Tak jak łódź, która wpływa do portu, a potem odpływa w nieznanym kierunku.

I nic się już nie zmieni.

- Rozumiem, co czujesz... - podjęła, ale Matthew uśmiechnął się szeroko i delikatnie uniósł jej podbródek.

- Bardzo wątpię - powiedział. - Cokolwiek chodzi ci po tej ślicznej główce, jest z pewnością tylko wytworem twojej bujnej wyobraźni. Nie...

- ...wtrącaj się? - przerwała mu, a on roześmiał się głośno.

- Chciałem tylko powiedzieć, byś nie zwracała sobie tej ślicznej główki Trevelyanami. Należymy do twardzieli.

- Pip także?

Matthew na moment zmrużył swe bursztynowe oczy.

- Czas pokaże - rzekł cicho. - A teraz idź do łóżka, Sophie. I patrząc na swą babkę, pamiętaj, że jej życie potoczyłoby się całkiem inaczej, gdyby nie przyjechała do Kornwalii.

Gdy wyszedł, Sophie jeszcze długą chwilę przyglądała się portretowi. Obraz ten wskrzeszał przeszłość, której brakowało w jej życiu. Matthew również należał do tej przeszłości i takim chciał dla niej pozostać... Wyjaśnił przecież, że oczekuje jej wyjazdu w stosownym czasie i dał do zrozumienia, że więcej nie zechce jej widzieć... Pocałunek był tylko przypieczętowaniem rozkazu. Nie mogła jednak o nim zapomnieć, ponieważ w jakiś przedziwny tajemniczy sposób ją odmienił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W środę cała trojka opuściła Trembath. Pip z pozoru był w dobrym humorze. Gdy podjechali pod szkołę, wysiadł z samochodu i podszedł do Sophie, by się z nią pożegnać, podczas gdy Matthew wypakowywał bagaże.

- Przygotujesz jakiś plan, Sophie? - szepnął, wkładając głowę w otwarte okno samochodu.

- Plan? - Była naprawdę zaskoczona.

- Co do szkoły! - syknął. - Byłem pewien, że namówisz tatę, by mnie stąd zabrał. - Miał bardzo zawiedzioną minę.

- Naprawdę chcesz opuścić to miejsce? - spytała. - Wygląda całkiem przyjemnie - skłamała. Och, jakie oszustwo zdolna będzie jeszcze popełnić, byle tylko uczynić zadość życzeniu Matthew!

- Wytrzymam, jeśli będę musiał - powiedział głuchym głosem.

To stwierdzenie położyło kres jej wahaniom. Wychyliła się, aby pocałować go w policzek.

- Pozostaw to mnie - szepnęła mu do ucha. - Plan już kiełkuje.

- To cudownie, Sophie!

Gdy Matthew podszedł, by odprowadzić Philipa, obrzucił ich oboje podejrzliwym wzrokiem.

- O co chodziło? - zapytał, gdy byli już w drodze powrotnej. - Co znowu uknułicie?

- Nic takiego - skłamała. - Philip pytał, czy zastanie mnie w Trembath, gdy przyjedzie tam na Wielkanoc. Odpowiedziałam, że chyba tak i on się z tego ucieszył...

- Naturalnie. - Matthew obrzucił ją pełnym wątpliwości spojrzeniem i wyjechał na główną drogę. - Jako osoba, którą w życiu prześladowuje pech, nie powinnaś prowokować losu, lady Sophrino - mruknął pod nosem.

- Dlaczego tak mnie nazywasz, przecież obiecałeś... Chyba w tej sprawie doszliśmy już do porozumienia? - spytała ostro.

- Wybacz mi. - Wzruszył ramionami. - Tak przyszło mi do głowy... Nie zapominaj, że jestem pisarzem obdarzonym romantyczną wyobraźnią. Często cię widzę jako heroinę dawnego romansu. Jaskrawe włosy, fiołkowe oczy i powiewne suknie. Tak, musi powstać o tobie książka...

Ten pomysł jej się nawet podobał. Lady Sophrina w powiewnych sukniach na tle wzburzonego morza... Nawet znienawidzone imię w tym kontekście brzmiało odpowiednio. A w tle oczywiście był dom. Nie mogła sobie wyobrazić lady Sophriny bez domu... Z dala od niego była tylko zwykłą Sophie. Z dala od niego była osobą bez przeszłości i bez przyszłości...

Czy w takim razie powinna błagać Matthew, by pozwolił jej pozostać w tym domu na zawsze? To byłoby całkiem do niej niepodobne! Spojrzała nań ukradkiem i usiłowała zgłębić jego myśli. Z pewnością nie szukał natchnienia do nowej książki... Jego książki nie były romansami, podobnie jak on sam nie należał do mężczyzn romantycznych... Odznaczał się chłodną, bezlitosną inteligencją, z którą będzie musiała stoczyć zaciętą walkę, jeśli rzeczywiście chciała pomóc Pipowi.

Sophie westchnęła. Same problemy! Ale najpierw powinna zająć się najważniejszym: miała przed sobą publiczny występ na ślubie przyjaciółki oraz zmartwienie, gdzie się zatrzymać na nocleg.

Gdy wjechali do Londynu, nie wiedziała, co powiedzieć, więc nie odezwała się ani słowem. W każdej chwili Matthew mógł spytać, gdzie ją wysadzić, a prócz szpitala, gdzie pracowała Esther, żadne miejsce nie przychodziło jej do głowy.

Matthew jednak o nic nie pytał. Zatrzymał się przed rzędem luksusowych domów przy Kensington Street, wysiadł z samochodu i otworzył jej drzwi.

- Gdzie... gdzie jesteśmy? - spytała niespokojnie.

- Moje londyńskie gniazdko - odrzekł z sardonycznym uśmiechem. - Gdy Philip jest w szkole, a szum morza działa mi na nerwy, wymykam się tutaj.

- Och, rozumiem - bąknęła, ale jego następne słowa odebrały jej dech.

- Zatrzymamy się tutaj na czas pobytu w Londynie. Przynajmniej będę mógł cię przypilnować.

- Wkrótce skończę dwadzieścia trzy lata - przypomniała surowo. - I od dłuższego czasu pilnuję się sama!

- I robiłaś to doprawdy doskonale - powiedział sarkastycznie. - Ale tym razem jesteś ze mną.

Sophie nie była pewna, jak na to zareagować, ponieważ jednak propozycja Matthew rozwiązywała jeden z jej problemów, pozwoliła zaprowadzić się do środka.

- Domyśliłem się, że nie masz się gdzie zatrzymać - powiedział. - Dlatego proponuję ci to miejsce. I nie ma w tej propozycji żadnych ukrytych motywów, prócz dbałości o twoje bezpieczeństwo. Opracujemy sobie rozkład zajęć. Będę ci służył podwiezieniem, dokąd zechcesz, albo skorzystasz z taksówki. Gdy pojedziesz na ślub i wesele, ja załatwię swoje sprawy a wrócimy razem. Nie widzę problemu.

Propozycja brzmiała całkiem rozsądnie, Sophie jednak nadal czuła niepokój.

- Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań - powiedziała, wchodząc do środka.

Gdy znalazła się w swoim pokoju i raz jeszcze przeanalizowała sytuację, doszła do wniosku, że był to ze wszech miar dobry pomysł. W dodatku cieszyła ją myśl, że Matthew zabierze ją z powrotem do Trembath.

W radosnym niemal nastroju położyła się do łóżka, ale sen długo nie nadchodził. Była niezwykle świadoma obecności Matthew w tym niedużym domu... Czuła się tu o wiele bardziej intymnie niż w Trembath... W dodatku - o

dziwo - zaczynało jej brakować szumu morza... Długo przewracała się z boku na bok, wreszcie wstała, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty.

Matthew jeszcze nie spał; siedział w salonie i czytał książkę.

- Idę zrobić herbatę - rzuciła przez drzwi.

- Zrób i dla mnie - powiedział, nie odrywając oczu od lektury.

- Jaka?

- Gorącą i mokrą - zakpił.

- Potrzebuję trochę więcej informacji - zirytowała się.

- Najwyższy czas, żebyś zapamiętała, co lubię - rzekł ponuro. - A więc lekcja pierwsza i ostatnia: lubię herbatę średnio mocną z odrobiną mleka i dwiema łyżeczkami cukru. Jasne?

- Słodka herbata szkodzi na zęby. - Wykrzywiła się szyderczo i zniknęła w kuchni.

Gdy wniosła herbatę do salonu, Matthew nadal czytał. Nie wiadomo dlaczego, gdy podawała mu filiżankę, ręka jej lekko zadrżała.

- Udało ci się jednak nie poparzyć mnie - skomentował, zręcznie wyjmując jej filiżankę z dłoni i stawiając obok siebie na stole.

- Nie upuściłabym jej na ciebie! - zaprotestowała.

- Wolałem nie ryzykować. - Przesunął się nieco na kanapie. - Usiądź, proszę, i opowiedz mi o weselu. Niewiele wiem o twoich przyjaciółach.

Nic dziwnego. Do tej pory więcej się kłócili, niż rozmawiali. Dziś wieczór jednak Matthew zachowywał się nadzwyczaj uprzejmie. Miło było siedzieć obok niego na wygodnej kanapie i opowiadać mu o swoich przyjaciółach. Słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu zadając krótkie pytania.

- A co z twoim chłopakiem? - spytał niespodziewanie. - Czy on też tam będzie?

- Och, mam nadzieję, że tak - zapewniła pospiesznie. - Potrzebuję jego pomocy.

- Potrzebujesz podpory? - Przyglądał jej się spod zmrużonych powiek.

- Zazwyczaj nie, ale ostatnio... - zająknęła się.

- Przyjdę tam po ciebie - zapewnił, a ona spojrzała mu w oczy z nie skrywanym zadowoleniem.

- Może chciałbyś pójść ze mną na wesele? Esther z największą ochotą pozna sławnego Matthew Trevelyana.

- Nie, dziękuję - rzekł krótko i zdecydowanie.

- Och, to była po prostu przyjacielska propozycja... - powiedziała niewyraźnie, usiłując wstać.

To było do przewidzenia, że Matthew odmówi... Nie znał tam nikogo oprócz niej, a jej uciążliwego towarzystwa miał już serdecznie dosyć, pomyślała z bólem.

- Usiłuję się w to nie wplątać, Sophie - wymamrotał. Chwycił ją za ramię i z powrotem posadził na kanapie. - Nie uciekaj jeszcze. Czyżbym zranił twoje uczucia?

- Nie, to bez znaczenia. - Wbiła wzrok w białe stopy, które wystawały jej spod rozchylonego szlafroka. - Nie chciałam cię do niczego zmuszać...

- To prawda, Sophie, że nie chciałbym być wciągnięty głębiej niż muszę w twoje sprawy. Już kiedyś stanowiłem część czyjś życia... Ale to niezupełnie to samo, prawda? - powiedział pospiesznie, chcąc ukryć zmieszanie.

Domyślała się, że miał na myśli ból, jaki odczuwał po śmierci Delphine...

- Wiem, że nadal jesteś nieszczęśliwy ze względu... Och, to był tylko taki przyjacielski gest... - zakończyła.

- Być może inaczej go zrozumiałem - rzekł zduszonym głosem. Popatrzył na nią zagadkowo. - Może przyłożyłbym Andrew w szczękę, kto wie?

Przyglądała mu się z rosnącym zdumieniem; właściwie nie miała pojęcia, o czym mówił, ale serce biło jej tak gwałtownie, jakby miało wyskoczyć z piersi.

- Masz bardzo piękne palce - powiedział, zerkając w dół na jej białe stopy, a potem na dłuższą chwilę utonął w jej szeroko otwartych, fioletowych oczach. - Zwiewne suknie, błyszczące oczy i ogniste włosy... Dziś wieczór ubrałaś się stosownie do roli, lady Sophrino. Brakuje nam tylko scenerii Trembath i szumu morza.

Siedziała jak zaklęta; nie mogła się nawet poruszyć, a gdy objął ją w pól, poddała się tak miękko i chętnie, że aż westchnął przeciągle, a w jego bursztynowych oczach pojawiło się coś złowrogiego i tak niepokojącego, że przejął ją nagły strach.

- Jestem niebezpieczny, Sophie - wymamrotał. - Dokładnie tak niebezpieczny, jak myślisz. Nie bądź taka uległa.

Nie zdążyła nawet pomyśleć, gdy pochylił swą ciemną głowę i przycisnął namiętnie usta do jej warg. Nawet nie usiłowała walczyć. Westchnęła tylko i rozchyliła wargi, żeby oddać mu pocałunek. Zrobiłaby wszystko, cokolwiek Matthew by rozkazał... Uległość wydawała się jedyną możliwą i naturalną reakcją. Gdy ujął jej głowę i omotując jej włosy wokół swoich dłoni, odchylił jej twarz do tyłu, zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła doń całym ciałem. Przez chwilę myślała z drżeniem serca, że znów ją pocałuje. On jednak odwrócił twarz. Dłonie jego ciągle jeszcze spoczywały na jej ramionach; czuła, że drżą i wielbiła to drżenie. Ale oczy Matthew stały się nagle odległe i pochmurne.

- Jestem od ciebie dziesięć lat starszy, Sophie - powiedział, oddychając nierówno. - Przypuszczam, że nie wiesz nawet, ile mnie kosztuje powstrzymanie się od wzięcia cię w ramiona za każdym razem, gdy cię widzę. A miałem się tobą opiekować... - Odsunął się od niej stanowczo i równie zdecydowanym ruchem uwolnił się od jej ramion. - Mój Boże, gdy zaprosiłem cię do Kornwalii, sądziłem, że zapraszam dziecko. Chyba postradałem zmysły!

- Nigdy cię nie prosiłem o to zaproszenie - powiedziała głucho. - I nigdy nie prosiłem, żebyś mnie całował...

Obrzucił ją drwiącym spojrzeniem.

- To zależy, co rozumiesz pod pojęciem „prosiłam” - rzekł surowo. - Wystarczy sama twoja obecność. Wystarczy jedno spojrzenie na ciebie, by każdy mężczyzna chciał cię wziąć w ramiona. Och, z pewnością nie mnie pierwszemu się to przytrafiło. Pewnie równie namiętnie reagujesz na pocałunki Andrew...

Kiedy to mówił, wstała i ruszyła energicznym krokiem w stronę wyjścia, jednak na jego ostatnie słowa odwróciła się i powiedziała z goryczą w głosie:

- Owszem, Andrew mnie całował, ale na jego pocałunki zwykle reaguję chichotem. Nie mogę się od tego powstrzymać...

- Sophie! - Podniósł się z kanapy; wyraz drwiny zniknął mu z twarzy.

Nie życzyła sobie przeprosin. Nie chciała niczego słuchać. Niczego!

- Dobranoc - powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Usłyszała jeszcze, jak Matthew opada z jękiem na kanapę, co dało jej odrobinę satysfakcji. Dobrze, że przynajmniej czuje się winny...

Pobiegła jak oszalała do łóżka i zakryła twarz kołdrą. Nie rozumiała własnych uczuć, bo nigdy przedtem niczego podobnego nie doświadczyła. Serce jej rozdzierała rozpacz i tęsknota, podniecenie i lęk. Czowała instynktownie, że nigdy nie zapomni Matthew Trevelyana i powinna jak najszybciej uwolnić się od jego osoby...

Powinna wrócić do pierwotnego planu i poszukać pomocy u swoich przyjaciół... Być może wśród weselnych gości znajdzie się ktoś, kto udostępni jej jakiś kątek na kilka miesięcy... Wróciła myślami do testamentu rodziców i doszła do wniosku, że powinna jak najszybciej udać się do swojego prawnika i sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób wcześniejszego skorzystania z zapisanych pieniędzy.

Wiedziała teraz, że jeśli zostanie z Matthew choćby o dzień dłużej, będzie zupełnie stracona. Już dziś znaczył dla niej tak wiele, a przecież do września pozostało jeszcze mnóstwo czasu...

Sophie obudziło ciche pukanie do drzwi. Gdy usiadła w pościeli, drzwi się otworzyły i wszedł Matthew z filiżanką porannej herbaty.

- Która godzina? - spytała spłoszona i zdziwiona jego obecnością w swojej sypialni.

- Już ósma. O dziesiątej mam spotkanie, ale przedtem mogę cię gdzieś podrzucić.

Unikając jego wzroku, podciągnęła wyżej kołdrę.

- Jestem umówiona z Esther dopiero w porze lunchu - odrzekła. - Ale wcześniej mam kilka spraw do załatwienia. Mogę wziąć taksówkę.

- Jak sobie życzysz - rzekł zimno. - A jeśli chcesz zobaczyć się z twoim chłopakiem przed południem, możesz zaprosić go tutaj.

- Nie wiem, co Andrew dziś porabia - odcięła się ostro. - Poza tym mam inne sprawy do załatwienia.

- Sophie, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... - wtrącił nieoczekiwanie.

- Nie chcę o tym rozmawiać, proszę... To był błąd. Postaram się o wszystkim zapomnieć.

- Pewny jestem, że ci się uda. - Odwrócił się i wyszedł, a ona odniosła niesamowite wrażenie, że wygrała tę rundę. Nie pojmowała tylko, dlaczego nie odczuwa szczególnej satysfakcji.

Przy śniadaniu niewiele rozmawiali. Zauważyła, że Matthew całkiem stracił apetyt i jadł jakby przez grzeczność. Potem uparła się, że wezwie taksówkę, ponieważ nie chciała, by zorientował się, dokąd jedzie.

Adwokat miał dla niej dobre wiadomości.

- Szkoda, że nie powiadomiłaś mnie o zamiarze studiowania wcześniej - powiedział pan Brown, spoglądając na nią surowo.

- Oszczędziłbym ci niepotrzebnego wyjazdu do Kornwalii. Rodzice przeznaczili pieniądze na twoją naukę, skoro więc zamierzasz ją kontynuować, nie widzę przeszkód, byś je dostała. Oczywiście wykonawcą testamentu jest

bank. Skontaktuję się z nimi jeszcze dziś po południu i zobaczę, co się da zrobić. Zatelefonuję do ciebie... Do Trembath, czy tak?

- Och, nie! - zaprotestowała żywo. - Sama się z panem skontaktuję.

Gdy znalazła się na ulicy, zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, ruszając sprawę testamentu... Nagły przypływ gotówki umożliwi jej natychmiastowy wyjazd z Trembath. Takie przecież miała plany... A jednak myśl o powiadomieniu Matthew, że rezygnuje z jego gościnności była dziwnie przygnębiająca. Odnosiła wrażenie, że w ten sposób okazałaby mu niewdzięczność, przede wszystkim zaś - nigdy więcej by go nie zobaczyła! Oczywiście - zwłaszcza po wczorajszych wydarzeniach - wyjazd był najlepszym rozwiązaniem... Tak czy owak, postanowiła działać ostrożnie i na razie nic mu nie mówić.

Spotkanie z Esther wprawiło ją w dobry humor. Po długiej rozłące miały sobie mnóstwo do opowiedzenia. Jadąc do przymiarki sukni, opowiedziała przyjaciółce wszystko o Trembath i Matthew Trevelyanie. Gdy tylko wspomniała, że Matthew przywiózł ją do Londynu, Esther posłała jej wielce wymowne spojrzenie.

- Czyżby w powietrzu wisiał romans? - spytała, unosząc brwi, a Sophie zarumieniła się mocno.

- Nie wygłupiaj się, Esther! - zaprzeczyła szybko. - Matthew jest... jest o wiele ode mnie starszy.

- To znaczy, ile ma lat? - dopytywała się Esther.

- Chyba około trzydziestu czterech. - Sophie starała się mówić swobodnie.

- Na litość boską, dziewczyno, to żaden wiek! Sama masz już prawie dwadzieścia trzy.

- Być może... Ale Matthew mówi, że jest ode mnie wiele starszy - bąknęła Sophie bezmyślnie.

- Aha. - Esther rzuciła jej przenikliwe spojrzenie, jakby teraz wszystko stało się oczywiste, po czym zmieniła temat: - Wieczorem idziemy z Andrew i Patrickiem na kolację.

Było już bardzo późno, gdy cała trójka odwiozła Sophie z powrotem na Kensington Street. I dopiero wówczas Sophie zorientowała się, że zapomniała kluczy. W oknach paliły się wszystkie światła, więc Matthew na szczęście był w domu.

Gdy samochód odjechał, otworzył jej drzwi z miną jak chmura gradowa. Był wściekły.

- Gdzie, u diabła, się podziewałaś? - spytał głucho. - Nie było cię cały dzień i nie miałem zielonego pojęcia, gdzie cię szukać!

Sophie oniemiała z wrażenia. Nawet do głowy jej nie przyszło, że powinna mu się opowiadać.

- Musiałam przymierzyć sukienkę - usiłowała załagodzić sytuację. - A poza tym miałam do załatwienia pewną sprawę...

- Chcesz powiedzieć, że przymiarka sukienki i jedna tajemnicza wizyta zajęły ci cały dzień? Dlaczego do mnie nie zatelefonowałaś?

Uniosła śmiało głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Musi go zawiadomić, że zamierza robić dokładnie to, co zechce, i nikomu nie będzie się z tego opowiadać. Ciekawe, jak przyjąłby wiadomość o jej spotkaniu z prawnikiem?

- Większość dnia spędziłam z Esther - powiedziała cichym głosem. - A wieczorem razem z Patrickiem i Andrew poszliśmy na kolację. Prosto z restauracji przywieźli mnie do domu.

- Właśnie słyszałem! - warknął. - Ciekawe, czy była choć jedna trzeźwa osoba, w tym samochodzie. - Zrobił krok w jej kierunku i chwycił ją za ramię. - Opiekuję się tobą, Sophie Grant, i nie zamierzam tracić dnia na poszukiwania! Następnym razem masz mnie powiadomić, dokąd wychodzisz i na jak długo.

- Ani mi się śni! - W oczach Sophie pojawiły się buntownicze błyski. - Wyrwanie się na wolność wiele mnie kosztowało i nie zamierzam teraz służyć pod niczyją komendą. Jutro również spędzę większość czasu z Esther. To wszystko, co mam ci do powiedzenia!

Usiłowała uwolnić się z jego uścisku, ale on zacisnął dłonie mocniej i bardziej stanowczo.

- W porządku - zgodził się po namyśle. - Być może po odosobnieniu w Trembath odczuwasz pewną potrzebę wolności...

- Przemawiał do niej jak do niesforne go dziecka, co tylko bardziej ją rozzłościło.

- Nie jestem ani dzieckiem, ani domowym zwierzątkiem! - wybuchła. - I nie musisz wypuszczać mnie na wybieg! Mam swoje sprawy do załatwienia, rozumiesz? - Wyrwała wreszcie ramię z jego uścisku i skierowała się do swego pokoju. - A jeśli chodzi o Trembath - dorzuciła - nie czuję się tam jak w więzieniu. - Obróciła się i spojrzała mu głęboko w oczy. - Domy nie stanowią pułapki, to ludzie nas osaczają.

- Ludzie podobni do mnie, czy tak? - wywnioskował z ponurą miną.

- Cóż, na złodzieju czapka gore - dopowiedziała i zniknęła za drzwiami swego pokoju.

Zupełnie nie pojmowała, jak doszło do tej kłótni... Przecież nigdy nie była kobietą swarliwą, a ostatnią osobą, z którą chciałaby się pokłócić był właśnie Matthew.

Lepiej szybciej położyć temu kres, rozmyślała. Ostatnio zachowywał się wobec niej dziwnie, był spięty, uszczypliwy. Co się z nim działo?

Następnego dnia pozostawił jej całkowitą swobodę. Gdy wstała na śniadanie, zastała na kuchennym stole wiadomość, że wyszedł. A więc wziął sobie do serca jej słowa... Nie wiedziała tylko, czy cieszyć się, czy smuć.

Wieczorem, gdy Andrew przywiózł ją do domu i chciał pocałować na dobranoc, stanowczo go odepchnęła. Wypadło to niezręcznie i zbyt brutalnie.

- Zmieniłaś się, Sophie - poskarżył się. - Wyjazd tam cię zmienił...

- To nieprawda - zaprotestowała. - I proszę cię, nie mów „tam”.

Mieszkam teraz w Kornwalii, a nie, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- To kwestia sporna. Mężczyzna, który otworzył ci wczoraj drzwi, wyglądał jak krewny Belzebuba. Przypuszczam, że był to sam wielki Matthew Trevelyan we własnej osobie... ten, który ponoć nie jest twoim krewnym?

Nerwowo przytaknęła. To prawda, że gdy Matthew był rozdrażniony, jego smagła, inteligentna twarz wyglądała upiornie.

A wczoraj wieczór był wyraźnie zły. Och, dziś też by się złościł, jeśli wiedziałby, że siedzi tutaj z Andrew... Do licha, co też jej chodziło po głowie! Przecież Matthew nie był o nią zazdrosny, pomimo tych wszystkich dziwnych, niezrozumiałych rzeczy, które powiedział jej tej nocy, gdy ją pocałował.

- Tak, to był Matthew - rzekła w końcu. - I prawda, że był zły. Nie powiedziałam mu, że nie będzie mnie przez cały dzień.

- A więc zabawia się w groźnego wujka? A może sam ma na ciebie ochotę, co?

- Oszczędź mi tych komentarzy - powiedziała lodowatym tonem, ale słowa te poruszyły ją do głębi. - Nie spodziewałam się tego po tobie, Andy.

Gdy weszła do domu, stwierdziła z ulgą, że Matthew jeszcze nie wrócił. Nie pojawił się do późna - przynajmniej do czasu gdy poszła spać. Śniło jej się, że był na jakiejś wspianiałej kolacji, wśród takich samych jak on ważnych osobistości. Wśród ludzi, których ona nigdy nie pozna! Przewróciła się na drugi bok, myśląc ponuro, że ani jej życie, ani ona sama nie pasują do Matthew Treveljana...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego poranka, gdy jadła wczesne śniadanie, Matthew pojawił się w kuchni.

- A więc dziś mamy ten wielki dzień? - przywitał ją z uśmiechem. - Czy wszystko gotowe?

- Tak. Wczoraj przywiozłam sukienkę, a kwiaty dostarczono mi przed kilkoma minutami.

- Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i pozwolisz się zawieźć na ślub? - zapytał, uśmiechając się zagadkowo.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Będę w długiej sukni, więc byłabym ci wdzięczna...

- Wdzięczność? Między nami? - Roześmiał się chrapliwie. - Powiedz tylko, o której godzinie mam być gotów.

Podala mu godzinę oraz adres kościoła i pozostawiła go samego. Całe przedpołudnie poświęciła na przygotowania. Wzięła aromatyczną kąpiel, pomalowała paznokcie, a potem usiłowała poskromić niesforne kręcone włosy. Gdy Matthew zapukał do drzwi, ogarnął ją lęk, ponieważ nagle zdała sobie sprawę, że będzie musiała stanąć naprzeciw niego w długiej sukni drużyny. Dlaczego czuła takie dziwne onieśmienie?

Po raz ostatni rzuciła okiem na swe odbicie w lustrze, jakby przygotowując się na spotkanie niesamowitych, bursztynowych oczu Matthew.

Na suknię dla Sophie Esther wybrała miękką, szmaragdową szyfon. Zieleń znakomicie podkreślała ognistą purpurę jej włosów i karnację. We włosy Sophie wpięła mały bukietik kremowych gardenii.

Gdy stanęła naprzeciw Matthew, fioletowe oczy miała szeroko otwarte z podniecenia. Przez dłuższą chwilę po prostu na nią patrzył. Stał z kluczykami w rękę i spoglądał jak urzeczony. Wodził wzrokiem po smukłej figurze spowitej w

nieziemską wprost kreację, a potem przeniósł spojrzenie na jej pobladłą twarz i niespokojne oczy.

- Jakież z ciebie piękne stworzenie - powiedział łagodnie. - Współczuję pani młodej.

Sophie nie wiedziała, co powiedzieć. Wzrok miała przykuty do tych nieruchomych, przenikliwych bursztynowych oczu, serce biło jej gwałtownie, a ciało przeszywały elektryzujące dreszcze. Burza uczuć, jaka rozszalała się w jej sercu, malowała się również na jej twarzy. Ponad wszystko pragnęła, by Matthew znów ją przytulił i wiedziała jednocześnie, że jeśli to teraz zrobi, niechybnie zemdleje. I stała tak, jak skamieniała, nie mogąc wydobyć głosu.

- Chodźmy już - powiedział Matthew, z trudem odrywając od niej wzrok.

Gdy dojechali pod kościół, pierwszą osobą, która wyszła im na powitanie, był Andrew. Podskoczył do samochodu i otworzył Sophie drzwi, nim Matthew zdążył wykonać jakikolwiek ruch.

- Wyglądasz cudownie! - zachwycił się szczerze, a potem jakby od niechcienia zerknął na Matthew. - Co? Jeszcze jeden gość? - spytał.

Sophie niemal fizycznie poczuła narastającą w Matthew złość.

- Matthew jest zbyt zajęty, by móc zostać na ślubie Esther - powiedziała szybko, by w porę załagodzić sytuację, ale słowa te tylko sprowokowały Andrew do dalszych komentarzy.

- To świetnie. Będę więc miał ciebie wyłącznie dla siebie - oświadczył głośno i, zadowolony ze swojej rymowanki, radośnie się roześmiał, a Sophie z przerażeniem i rozpaczą popatrzyła na Matthew, który stał po drugiej stronie samochodu i z kamiennym obliczem obserwował ją i Andrew..

- Mówiłam ci już, gdzie się odbędzie przyjęcie... - zwróciła się do niego na pożegnanie. - Przyjedziesz po mnie?

- Będę tam, nic się nie martw - zapewnił ją cicho.

- Czy on ma zamiar kręcić się w pobliżu i czekać na ciebie? - spytał ostro Andrew, patrząc za odjeżdżającym samochodem.

- Mówiłaś przecież, że jest zbyt zajęty...

- Och, daj już spokój! - ucięła Sophie, chcąc uniknąć kłótni.

Na szczęście jako druhna miała mnóstwo roboty, szybko więc porwał ją wir obowiązków. Wróciła jej dawna pewność siebie, energia i operatywność. Dopiero w trakcie przyjęcia zdała sobie sprawę, jak bardzo zmieniała się w obecności Matthew. Gdy był w pobliżu, traciła zwykły rezon i miała ochotę albo z nim walczyć, albo paść mu w ramiona...

Przez całe przyjęcie była bardzo zajęta. Wesele odbywało się w hotelowej restauracji, niedaleko domu Esther. Gdy Esther starym zwyczajem rzuciła jej swój bukiet, Sophie dołożyła wszelkich starań, by go nie chwycić. Uchyliła się tak ostentacyjnie, że wszyscy zwrócili na to uwagę i zaczęli się śmiać. Była tak zaaferowana, że nie spostrzegła nawet, gdy w drzwiach pojawił się Matthew.

- Jakie masz plany na najbliższą przyszłość, Sophie? - zwrócił się do niej Patrick, obejmując pannę młodą. - Nie musisz wracać do Kornwalii. Możesz zamieszkać w moim mieszkaniu. Zapłaciłem za dwa miesiące z góry, więc...

- Mów trochę ciszej, gdy zwracasz się do Sophie - wtrącił złośliwie Andrew. - Jej anioł stróż, a raczej diabeł stróż, już przyjechał.

Wszystkich zdziwiły te słowa, prócz Sophie, która w tym momencie podniosła wzrok i spostrzegła Matthew stojącego w drzwiach, a więc tuż obok nich. Musiał wszystko słyszeć i zrozumieć aluzję, której najwyraźniej nie pojął Patrick.

- Co ty na to, Sophie? - ciągnął jak gdyby nigdy nic. - Możesz zamieszkać w Londynie i przez pewien czas nie płacić czynszu.

Przecież z nadzieją na taką pomoc tu jechała! Jak łatwo, zupełnie bez wysiłku z jej strony, całkiem mimochodem osiągnęła swój cel! Nawet nie musiała prosić o pomoc w znalezieniu lokum... Teraz jednak stała bezradnie i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jej, tak wygadanej osobie, nagle odjęto mowę!

- Zgódź się, Sophie - namawiał Andrew. - Znów moglibyśmy być razem. Mam nadzieję, że następne wesele będzie nasze...

Wiedziała, że kłamie i mówi tak tylko po to, żeby sprowokować Matthew. Czula się tak zażenowana i speszona, że ciągle nie wiedziała, co powiedzieć, jak zareagować - zgodzić się czy odmówić? Całkiem odjęło jej mowę...

- Sophie jest ze mną - podchodząc do nich, powiedział Matthew z chłodną nonszalancją. - Jeśli więc zechce mieszkać w Londynie, w każdej chwili może zamieszkać w moim domu.

Popatrzył na nią wymownie i właściwym sobie, władczy ruchem objął jej ramię. Odniosła przerażające wrażenie, że jeśli natychmiast nie odzyska mowy, za chwilę poprosi ją grzecznie, lecz stanowczo, by się pożegnała.

- Matthew ma rację - zapewniła skwapliwie, zmuszając się do uśmiechu. - Tym niemniej bardzo ci dziękuję, Patricku.

- Nie sądziłem, że będziesz siedzieć w tej Kornwalii jak w więzieniu - wtrącił Andrew z rosnącą złością. - Myślałem, że choć od czasu do czasu cię zobaczę.

- Proszę nas odwiedzić - zaproponował Matthew jedwabistym głosem.

- Odwiedzić? - Andrew miał bardzo głupią minę.

- Oczywiście - powiedział Matthew ze sztucznym uśmiechem na ustach. - W każdej chwili, byle tylko przed wrześniem. - Spojrzał na Sophie. - Rozumiem, że już zakończyłaś swoje obowiązki i możemy wyjść...

- Wieczór się jeszcze nie skończył - odezwał się Andrew tonem zaczepki, ale Matthew nie dał się sprowokować.

- Dla Sophie się skończył - poinformował go z zimnym uśmiechem. - Diabeł stróż przyszedł po swoją własność.

Sophie była niezmiernie zadowolona, że Matthew dopiero teraz pojawił się na przyjęciu. Esther przyglądała mu się z pełnym podziwu oszołomieniem, Patrick podejrzliwie, Andrew zaś z wyraźną wrogością. Sophie poczuła ogromną ulgę, gdy wreszcie opuścili towarzystwo i znaleźli się sam na sam w samochodzie.

- No, no! - rzucił od niechcienia, gdy ruszali z parkingu.

- Wszyscy o panią walczą, lady Sophrino.

- Nic podobnego - zaperzyła się.

- Mąż Esther proponuje ci swoje lokum, Andrew waruje przy tobie jak pies przy kości, no i na koniec ja sam. A to oznacza, że trzech mężczyzn gotowych jest stoczyć o ciebie walkę.

- Ależ Patrick... - podjęła zażenowana, a Matthew roześmiał się gromko.

- Właściwie nie miałem na myśli męża Esther - zapewnił ją i dodał cynicznie: - To by było za szybko jak na nowożeńca.

A zatem pozostawał Andrew i... Matthew, pomyślała oszołomiona. Nigdy nie sądziła, że Matthew byłby gotów o nią toczyć boje. Czyżby z niej szydził? Spojrzała mu prosto w twarz i skonstatowała, że miał dziwnie przejętą minę.

- Jesteś zupełnie niemożliwy - poskarżyła się cicho.

- To prawda - zgodził się z drwiącą pokorą. Gdy już dojechali do domu, spytał spokojnie:

- Wolisz wyjść do miasta, iść wcześniej spać, czy też wracać jeszcze dziś do Trembath?

Najchętniej zrobiłaby wszystkie te trzy rzeczy naraz.

- Może cicha kolacja? - spytała ostrożnie.

- Świetnie - rzekł po krótkim namyśle, w skupieniu obserwując jej twarz.

- Czy nie moglibyśmy... po prostu zjeść jej w domu? Zmierzył ją od stóp do głów rozbawionym spojrzeniem.

- Nie moglibyśmy, naprawdę nie moglibyśmy - zapewnił ją ironicznie. - Przebierz się w coś mniej porywającego i zaraz wychodzimy.

Szybko zreflektowała się, że miał rację. Panowało dziś między nimi osobliwe, elektryzujące napięcie i przebywanie teraz razem w intymnej, domowej atmosferze nie było szczęśliwym pomysłem.

- Gdzie zamierzasz mieszkać podczas studiów? - zapytał, gdy znów siedzieli w samochodzie. - Szanse zdobycia mieszkania w akademiku, jak wiesz, są równe zeru.

- W Londynie jest mnóstwo mieszkań - odparła nonszalancko.

- Jakich mieszkań? Jesteś już dorosłą kobietą, a nie studentką w podkolanówkach, potrzebujesz więc bezpiecznego i wygodnego mieszkania, jeśli naprawdę masz zamiar studiować i nadrobić stracony z własnej winy czas.

- Wcale nie z własnej winy! - oburzyła się, a on popatrzył na nią drwiąco.

- Z informacji, które posiadam, wynika, że straciłaś mnóstwo czasu z winy swego porywczego charakteru - powtórzył z naciskiem. - Ale mniejsza z tym. Wracajmy do tematu mieszkania... Pomyślałem, że byłoby najrozsądniej, gdybyś zamieszkała w moim londyńskim domu.

- Co takiego? - Popatrzyła na niego zdumiona. - Ale... ale przecież to twój dom! Powiedziałeś, że to twój azyl... - Nie mogła wprost w to uwierzyć! Zachowywał się jak prawdziwy przyjaciel... jakby naprawdę interesował się jej losem... A przecież jeszcze niedawno powtarzał z uporem, że była tylko statkiem, który mija go nocą...

- Nie zamierzasz chyba spędzić na uniwersytecie reszty swego życia? - burknął. - Mam nadzieję, że zwrócisz mi mieszkanie, tak jak się zwraca pożyczoną rzecz. Jeśli zaś chodzi o mnie... Nie jestem jeszcze pewien, ale prawdopodobnie wyjadę na jakiś czas do Ameryki.

- Och! - Sophie siedziała w milczeniu, a myśli ulatywały jej z głowy, jedna po drugiej, jak spłoszone ptaki. A więc już nie będą się spotykać... Matthew wyjedzie daleko za ocean! A co z Pipem? Czy zabierze ze sobą Pipa? - Czy zabierzesz ze sobą Pipa? - spytała.

Matthew rzucił jej spojrzenie pełne irytacji, która jednak pierzchła, gdy zobaczył wyraz jej twarzy.

- Dlaczego tak się troszczysz o mojego syna?

- Dlatego, że przypomina mi moje dzieciństwo - odrzekła bez wahania. - Ale ja nie byłam taka twarda... Tylko zdawało mi się, że byłam. - Wyglądała przez okno, unikając jego badawczego spojrzenia. - Czasami było mi bardzo ciężko i... Nie mogę wyobrazić sobie, że Pip...

- Czy cię to uspokoi, jeśli obiecuję, że skonsultuję z tobą ten problem?
- Naprawdę? - Popatrzyła na niego zdumiona. - Ale ja wyjadę...

Powiedziałeś przecież...

- Mówiłem wiele głupstw - wyznał. - I robiłem to dlatego, że Wywarłaś na mnie piorunujące wrażenie. Po prostu nie mogę cię dłużej ignorować... - Urwał i nie odezwał się już ani słowem.

Sophie też milczała i zaczynała ją ogarniać ogromne poczucie winy. Powinna go była powiadomić o swojej wczorajszej wizycie u adwokata, ale przegapiła okazję. Teraz było za późno. Matthew siedział ponury i zamyślony. Obiecała sobie solennie, że powie mu przy najbliższej okazji. Ta dzisiejsza rozmowa uświadomiła jej wszakże, że czas, który jej pozostał, aby móc go spędzić z Matthew, był niezwykle ograniczony. Jego wyjazd do Ameryki oznaczał koniec ich znajomości.

Kolację zjedli w małej, zacisznej restauracji, w której Matthew zazwyczaj jadał podczas pobytów w Londynie. Obydwoje mieli trudności ze znalezieniem odpowiedniego tematu do konwersacji, toteż rozmowa nie kleiła się. Sophie wyczuwała, że ten dzień w jakiś niepojęty sposób zmienił ich wzajemne stosunki.

Popatrzyła mu w twarz z rozpaczą i tęsknotą, Och, nie powinna korzystać z zaproszenia do Kornwalii. Byłoby lepiej, gdyby nigdy go nie spotkała... Nie mogła ukryć przed sobą, że ją całkowicie oczarował...

- Chodźmy już - rzekł nagle, dając znak kelnerowi.

Sophie natychmiast pojęła, że uczynił to, ponieważ bezbłędnie odczytał wyraz jej twarzy i chciał natychmiast położyć temu kres. Nie mogła go za to winić. Wprowadziła w jego życie niepożądane komplikacje...

Gdy wrócili do domu, poszła prosto do swego pokoju i tam już pozostała. Postanowiła nie wchodzić Matthew w drogę. Nie do zniesienia stawała się myśl, że była dla niego ciężarem.

Po powrocie do Kornwalii od razu dało się zauważyć, że wszystko uległo zasadniczej zmianie. Sophie żyła teraz w przeświadczeniu, że jej czas w Trembath wkrótce dobiegnie końca. Pozostanie tu aż do września byłoby zadaniem ponad jej siły.

Nie dawała jej tylko spokoju myśl o Pipie i obietnicy, jaką mu złożyła. A jeśli do samego wyjazdu nie uda jej się załatwić tej sprawy? W tej chwili jednak walka z Matthew byłaby całkiem daremna.

W jego obecności czuła się zakłopotana, zdenerwowana i, szczerze mówiąc, nie czuła się na siłach poruszać żadnej istotnej sprawy.

Przez pewien czas w ogóle starali się siebie unikać. Matthew od raził wrócił do pracy i spędzał w swoim gabinecie niemal cały dzień; zrezygnował nawet z codziennego pływania. Widywali się właściwie tylko przy kolacji, a wówczas zachowywał się z chłodną uprzejmością obcego człowieka. Sophie była zadowolona, gdy wreszcie mogła zaszyć się w swoim pokoju. Ona również poświęcała teraz mnóstwo czasu nauce.

Zanosilo się na to, że tak już pozostanie do końca, aż tu pewnego wieczoru Matthew oświadczył, że zjedzą kolację w restauracji Corwinów. Sophie była lekko zdziwiona, ponieważ od czasu jej przyjazdu do Trembath Eve nie pojawiła się tu ani razu. Sophie przypuszczała, że stosunki Eve z Matthew uległy ochłodzeniu. Postanowiła przede wszystkim nie dać po sobie poznać, że była zazdrosna o Eve.

- Nasza piękna Sophrina! - powitał ją Brad, gdy weszli do restauracji.

Eve, która stała za barem, natychmiast podskoczyła do Matthew, uwiesiła się jego ramienia i zaczęła szeptać mu coś do ucha. Sophie nie miała wyjścia, musiała rozmawiać z Bradem aż do chwili, gdy zwolnił się ich stół. Kolacja nie była szczególnie udana, tym bardziej że Brad dość długo kręcił się wokół nich, wypytywał o podróż do Londynu oraz wspominał wielokrotnie, że chciałby zobaczyć Sophie w jej sukni druhny.

- Czy byłeś na weselu, Matt? - spytała Eve takim tonem, jakby z góry wiedziała, że padnie przecząca odpowiedź.

- Tylko przez kilka chwil, gdy przyjechałem po Sophie - odrzekł spokojnie. - Nie przepadam za weselami.

- Przypuszczam, że w Londynie zatrzymałaś się u przyjaciół? - zwróciła się Eve tym razem do Sophie, ale nim ta zdążyła odpowiedzieć, Matthew przyszedł jej w sukurs.

- Zatrzymała się w moim londyńskim domu - rzekł bez żenady.

- Czy nie było to posunięcie zbyt ryzykowne dla jej reputacji? - spytał Brad, patrząc na Sophie tak wymownie, że aż spłonęła rumieńcem.

- Nie bądź śmieszny, Brad - parsknęła Eve. - Przecież to jego bratanica.

- Sophie nie jest moją bratanicą. - Lodowate spojrzenie Matthew przywołało ich do porządku. - A jej reputacja nie poniesie uszczerbku, jeśli ludzie zajmą się swoimi sprawami.

Matthew nie odezwał się już do końca wieczoru. Gdy wracali do domu, Sophie czuła, że powinna zabrać głos.

- Przykro mi, że się rozzłościłeś - odważyła się powiedzieć.

- Przysparzam ci tylko kłopotów...

- Nie obwiniaj się za głupotę i brak taktu innych ludzi - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Istnieją tu różne podziemne prądy, o których nie masz pojęcia - dodał enigmatycznie.

Sophie zamilkła na dłuższą chwilę. Musiałaby być ślepa, gdyby nie miała o tym pojęcia! Eve pragnęła Matthew - i było to jasne jak słońce, a Brad uwielbiał grać rolę podrywacza. Obydwoje byli warci siebie.

- Trzymaj się z dala od Brada Corwina - ostrzegawczym tonem nieoczekiwanie powiedział Matthew i to ją naprawdę zdziwiło.

- Nawet go więcej nie zobaczę - podkreśliła. - Nigdzie sama nie wychodzę... Poza tym wiesz, że w ogóle go nie lubię. Nie przepadam za nimi obojgiem.

Tym razem nie powtórzył, że to jego przyjaciele.

- Jeśli masz ochotę gdzieś wyjść, wystarczy tylko powiedzieć - rzekł po chwili namysłu.

- Jestem szczęśliwa tam, gdzie jestem - wyszeptała. - To wielka zmiana po gwarnym Londynie. Czuję się w Trembath jak na wakacjach.

- Potrafisz prowadzić samochód?

- Owszem, chociaż trochę wyszłam z wprawy, od czasu gdy kończyłam kurs.

- Powinnaś znowu zacząć. Będziesz bardziej swobodna, gdy mnie tu nie będzie.

Sophie zamarła z wrażenia. Jakże dobitnie przypomniawszy o swoim rychłym wyjeździe! Właściwie, kiedy zamierzał wyjechać? Nie śmiała spytać.

- Chodźmy na spacer po plaży - zaproponował, gdy zajechali pod dom. - Wieczór nie jest zbyt chłodny, a ty na szczęście włożyłaś cieplejszy strój niż ostatnim razem, gdy jedliśmy kolację w Port Withian.

Być może ostatnie zdanie nie kryło w sobie żadnej aluzji, ale Sophie zrobiło się głupio na wspomnienie tamtego wieczoru. Dziś nie próbowała już nikogo olśnić i ubrała się w prostą, wełnianą sukienkę. Miała także na sobie płaszcz.

Zeszli na dół krętą ścieżką wśród skał. Dom stał na samym skraju urwiska, ale w pewnej odległości znajdowało się sporo miejsc o łatwo dostępnych plażach. Teraz był odpływ i morze wyglądało nadzwyczaj spokojnie.

- Zupełna flauta - powiedział Matthew. - O tej porze woda odpływa najdalej od brzegu.

- Zapewne znasz wszystkie przyływy i odpływy - wtrąciła.

- Owszem, znam. Każdy Kornwalijczyk mieszkający nad morzem je zna. Morza nie można lekceważyć i mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz.

Gdy znaleźli się nad samym brzegiem, ujął ją pod ramię i szli wolno przed siebie, zapatrzeni w daleki horyzont. Było niebywale cicho i spokojnie. Morze zdawało się przemawiać do nich pieszczotliwym szeptem... Gdy Sophie wspomniała o tym, Matthew roześmiał się głośno.

- Poczekaj trochę, a zobaczysz, że wróci ze zdwojoną wściekłością.

- Bałabym się być tu sama - wyszeptała, gdy księżyc wyszedł zza chmur i rozświetlił piasek. Ciemne miejsca dla kontrastu wydały się jeszcze ciemniejsze, a skały kryjące wejścia do jaskiń jeszcze bardziej złowieszcze. - Bałabym się przemytników, a raczej ich duchów - dodała.

- Owszem, w dawnych czasach w tych jaskiniach przechowywano kontrabandę. Jeśli wierzysz w duchy, to właśnie tu powinnaś je spotkać.

- Naprawdę tak myślisz? - Poczula zimny dreszcz na karku i przysunęła się bliżej do Matthew.

- Lubisz się sama straszyć - roześmiał się, szczerze ubawiony.

W tej chwili nic nie przerażało jej bardziej niż myśl, że Matthew wyjedzie. Stałaby oko w oko z każdym duchem, byle tylko móc w nieskończoność spacerować z Matthew po plaży przy świetle księżyca... Nagle jakiś nocny ptak oderwał się od skały i przeleciał tuż obok, prawie muskając jej policzek.

Z okrzykiem przestraszenia przywarła do Matthew całym ciałem. Objął ją pewnie ramionami, przytrzymał, a gdy zebrała się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy, zobaczyła, że uśmiecha się łagodnie.

- Och, Sophie, jesteś tak młoda, że ręce opadają. Nigdy nie jestem pewien, ile masz lat. Czasami zachowujesz się jak mała dziewczynka.

- Ale już nią nie jestem. - Popatrzyła mu w twarz.

W świetle księżyca jej oczy były ciemne, prawie czarne, pociemniały również jej ognistorude włosy. Także Matthew w tym świetle przypominał ciemnego ducha z przeszłości, jakiegoś pirata z zamierzchłych czasów.

Pomyślała, że nie musiałby jej porywać, jak to mieli w zwyczaju piraci -

wystarczyło, by ją zawołał, a poszłaby za nim na koniec świata. Nagle spostrzegła, że drwiący uśmieszek zniknął mu z warg.

- Przestań! - nakazał niespodziewanie, ale ona patrzyła nań nadal.

- Przecież nic nie robię - wyszeptała, a on wzmocnił uścisk na jej ramieniu, jakby chciał przeniknąć materiał płaszcza.

- Owszem - zapewnił ją chrapliwie. - Stoisz tu jak niewolnik... uległy, potulny niewolnik, który czeka na swój los...

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, obrócił ją do siebie, rozpiął jej płaszcz i przywarł dłońmi do jej ciepłego ciała. Poczowała na twarzy najpierw gorący oddech, a potem jego twarde, zachłanne usta.

- Jesteś jak delikatny ciepły aksamit - szeptał jej prosto w usta. - Tu... nad morzem... wszystko wydaje się nierealne, nic nie ma znaczenia, prócz tego, że pragnę cię pieścić, całować...

Była w jego ramionach bezbronna jak lalka, i nawet gdyby ją puścił i tak pozostałaby na miejscu. Wargi jego wędrowały po jej twarzy i szyi, wpijały się w nią gwałtownie. Chciała coś powiedzieć, ale jego usta znów znalazły się na jej wargach. Miał rację - nic nie miało teraz znaczenia, świat wokół był nierealny, jak z bajki. W słabej poświacie księżycy widziała tylko ogromne, przesłaniające wszystko, błyszczące oczy Matthew.

Gdy oderwał od niej usta, zamruczała coś cicho, pożądliwie i wyciągnęła ramiona, by przyciągnąć go znów. Miała wrażenie, że ciało jej płonie żywym ogniem, cała drżała i zaciskała mocniej i mocniej ręce wokół jego szyi. W szaleńczym zapomnieniu zaczęła oddawać mu pocałunki, oddychając nierówno, z sercem bijącym jak młotem.

- Dosyć, Sophie - nakazał nagle. - Dosyć! - Trzymał ją wciąż blisko siebie i zaciskał dłonie na jej głowie, gdy protestowała i walczyła, by znów go pocałować.

Wyrwała mu się i popatrzyła w zdumieniu.

- To moja wina i więcej się to nie powtórzy - powiedział, a jego oczy stały się nagle dalekie jak bezkresne przestworza.

- Dlaczego? - Patrzyła na jego usta z tęsknotą.

- Czy kiedykolwiek tak się czułaś? - spytał, ujmując znów jej twarz w dłonie i spoglądając jej głęboko w oczy. A gdy zaprzeczyła ruchem głowy, wyjaśnił: - I właśnie dlatego musimy przestać.

Nie pozwolił na żadne pytania czy protesty, tylko stanowczo poprowadził ją z powrotem na ścieżkę wiodącą do ogrodu.

W domu chwycił ją mocno za rękę, żeby nie uciekła do swego pokoju, i pociągnął ją za sobą do salonu. Stała za fotelem, a on zaczął nalewać drinki.

- Brandy dobrze nam zrobi - powiedział, wręczając jej kieliszek, i ignorując spojrzenie pełne wyrzutu, jakim go obdarzyła. - Muszę ci coś powiedzieć, Sophie... - oświadczył z pozornym spokojem. - Wyjeżdżam.

Nerwowy dreszcz przebiegł jej po twarzy. Nie była zdolna wykrztusić ani słowa.

- Do licha, Sophie! - Wzruszył ramionami. - Dobrze wiesz, że muszę wyjechać. Tak dalej nie może być... Reaguję na ciebie zbyt gwałtownie, fascynuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy. Pragnę cię mieć na własność, Sophie, a nie mam prawa do takich uczuć wobec córki Quentina.

Z radości podskoczyło jej serce, ale równocześnie ogarnął ją strach, ponieważ smagłą twarz Matthew ożywiały teraz uczucia, których pojąć nie była w stanie.

- Skoro... jeśli mnie kochasz... - zaczęła niepewnie, ale pod wpływem jego spojrzenia szybko zamilkła.

- Powiedziałem tylko, że cię pragnę, Sophie - odrzekł ze śmiertelnym spokojem. - Pragnę z tobą spać, posiadać cię... a to nie jest miłość.

Sophie patrzyła nań niemo; przyszły jej na myśl słowa Andrew, gdy nazwał Matthew jej „diabłem stróżem”... Zły duch... Teraz właśnie przypominał diabła, a ona z trudem stała na drżących nogach i próbowała stawić mu czoło.

- Nie musisz przede mną uciekać - wykrztusiła. - To ja mogę stąd wyjechać... - Obawiając się, że jej przerwie, mówiła szybko, bezładnie: - Chyba dostanę te pieniądze, które pozostawili mi rodzice... W Londynie widziałam się z adwokatem, on uważa, że mogę je otrzymać, ponieważ zamierzam kontynuować naukę. Przez cztery lata procentowały odsetki i na pewno zrobiła się całkiem spora suma, więc wystarczy, bym dała sobie sama radę... Niebawem będę mogła stąd wyjechać.

- Nie zgadzam się! - prawie krzyknął i w dwóch krokach znalazł się przy niej. - Tutaj jesteś bezpieczna. Bidy na pewno się zgodzi i z tobą zamieszka. Możesz tu spokojnie się uczyć... - Zdał sobie nagle sprawę, że znów wysuwa żądania, więc zreflektował się w porę. - Zostań, proszę - dodał łagodnie. - Mnie i tak lepiej się pracuje w Londynie. Przede wszystkim zaś będę wiedział, gdzie jesteś.

- Zgoda - powiedziała rzeczowo. Nie miała zamiaru histeryzować jak chora z miłości nastolatka. Powinna zachować zdrowy rozsądek. Jeśli Matthew potrafił być taki chłodny i oficjalny, ona także postara się zachować z godnością. - Ale naprawdę - dodała - nie ma takiej potrzeby. I tak mam swoje plany na przyszłość... Zamierzam studiować i zacząć nowe życie... - Upiła łyk brandy; czuła, jak przyjemne ciepło rozchodzi się w jej żyłach. - A co z Pipem? - spytała nieoczekiwanie. - Za miesiąc przyjedzie tu na kilka dni, bo będzie miał przerwę...

- Ja też przyjadę - mruknął.

- Obiecałam Pipowi, że mu pomogę... A ty mi obiecałeś, że ze mną o nim porozmawiasz.

- O Boże, Sophie! - jęknął żałośnie. - Czy ty nigdy nie rezygnujesz? Naprawdę nie mam teraz ochoty na dyskusję o moim synu.

- W takim razie jutro - nalegała.

- Jutro wyjeżdżam.

- A więc przed wyjazdem - powtórzyła ze ściśniętym gardłem, ponieważ do oczu napływały jej łzy.

- Czy ty naprawdę nigdy nie rezygnujesz? - spytał tym razem z pewnym rozbawieniem.

Sophie nawet nań nie spojrzała. Musiała szybko wyjść, nie była bowiem pewna, czy za chwilę się nie rozpłacze.

- Nie rezygnuję - oświadczyła, wychodząc.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia, gdy zapukała do drzwi gabinetu, Matthew zajęty był pakowaniem swoich papierów. Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

- Chcę porozmawiać o Pipie - oświadczyła stanowczo.

- W porządku. - Wskazał gestem krzesło, a sam przysiadł na brzegu biurka. - Widzę, że ta rozmowa mnie nie ominie.

- Dlaczego Pip nie może chodzić do dziennej szkoły? - spytała poważnie.

- Byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby mógł codziennie wracać do domu.

- To nie takie proste, Sophie - powiedział Matthew, patrząc na nią ze smutkiem. - Czasami wyjeżdżam na kilka dni. Kto by się nim zajmował? Jak by wracał do domu?

- Biddy - wtrąciła szybko. - Większość szkół posiada autobusy, którymi odwozi dzieci do domu. Nie przypuszczam zresztą, byś tak często wyjeżdżał...

- A jeśli szkoła nie dysponuje takim autobusem?

- Och, znajdziemy szkołę, która nim dysponuje - odparła stanowczo.

- My? - zdziwił się z lekkim uśmiechem. - Czy przypadkiem nie traktujesz zbyt serio swej roli w tej sprawie?

Popatrzył na nią tak przenikliwie, że spuściła wzrok.

- Och, przejęzyczenie - usiłowała zbagatelizować. - Ale chcę ci pomóc w opiece nad Pipem, oczywiście w najbliższej przyszłości... Nie zapominaj, że w końcu sierpnia wyjeżdżam do Londynu.

- Nie zapomniałem. - Wstał i wyszedł zza biurka. - Pomyślę o tym wszystkim, ale teraz, wybaczone, mam jeszcze mnóstwo pracy przed wyjazdem.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała ze ściśniętym sercem.

- Jak tylko wrzucę bagaże do samochodu - oznajmił, a widząc smutny wyraz jej twarzy, dodał: - Los nie był dla nas łaskawy, Sophie.

- Zamierzam zmienić swój los - powiedziała przez łzy. Odwróciła się do drzwi, a gdy zawołał za nią, przystanęła z wahaniem.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić, nim wyjadę? - spytał chłodnym, uprzejmym tonem.

- Nie... Już ci mówiłam, że prawdopodobnie dostanę pieniądze... - Odwróciła się do niego z wyzywającym wyrazem twarzy. - A gdy je dostanę, wyjadę stąd. Wrócę do Londynu jeszcze przed początkiem roku szkolnego. Gdy przyjedziesz do Trembath, możesz mnie tu już nie zastać.

Na moment na jego czole pojawiła się groźna, ponura linia, ale zaraz uśmiechnął się zagadkowo i podchodząc do niej, powiedział:

- Nie sądzę. Przypuszczam, że twoja miłość do dzikiego morza zatrzyma cię tu. - Stał blisko i nadal się uśmiechał. - Właściwie gotów jestem iść o zakład, że tak będzie.

- Dlaczego więc sam tu nie zostaniesz? - spytała bez tchu, a on podszedł i ujął jej twarz w dłoń.

- Doskonale wiesz, dlaczego - rzekł głębokim, pełnym napięcia głosem. - A teraz wyjdź stąd i pozwól mi wyjechać. Nie mogę dłużej przebywać z tobą pod jednym dachem. To byłoby szaleństwo... Dla nas nie ma przyszłości, Sophie. Nie... nie mam zamiaru uwieść córki Quentina!

Popchnął ją lekko w stronę drzwi; Sophie wyszła z poczuciem druzgocącej klęski. Niewiele uzyskała w sprawie Pipa...

W dodatku traciła Matthew - traciła go na zawsze... Wiedziała, że nic go nie skłoni do zmiany planów. W tej sprawie miał chłodny umysł... Sytuacja była beznadziejna, ponieważ Matthew nadal kochał Delphine...

Biddy przeprowadziła się do Trembath bez słowa sprzeciwu; dla Matthew zrobiłaby wszystko, pomyślała Sophie. Jak to się działo, że wszyscy byli na jego usługi, choć zachowywał się czasem jak diabeł wcielony! Ona sama nie była tu wyjątkiem. Tęskniła za nim tak bardzo, że każdego ranka sprawdzała, czy przypadkiem nie wrócił i nie poszedł popływać.

Aby zagłuszyć ból i tęsknotę, rzuciła się w wir pracy. Uczyla się z takim zapałem, że gdyby Biddy nie interweniowała, w ogóle nie opuszczałaby swojego pokoju.

Któregoś dnia zadzwoniła do pana Browna i usłyszała dobre wieści. Bank rozważał sprawę i wkrótce miał podjąć decyzję. Co by było, zastanawiała się, gdyby zwróciła się z tą sprawą do pana Browna wcześniej? Gdyby poinformowała go, że zapisała się na studia? Dotarło do niej, że wówczas nie musiałyby jechać do Kornwalii... I nigdy nie poznałyby Matthew! Nie poznałyby go, gdyby nie znalazła się w tak strasznych finansowych tarapatkach... Ale cokolwiek się stanie, nigdy nie będzie żałować, że przyjęła zaproszenie do Kornwalii... Od samego początku miała dziwne, niesamowite uczucie, że tu przynależy... W jakiś niepojęty sposób przynależy do Trembath i do Matthew...

Dopiero teraz przyznała się przed sobą, że pokochała tego mężczyznę - pokochała go niemal od pierwszego wejrzenia. I to wyjaśniało wszystko. Nigdy przedtem nikogo nie kochała, nie poznała więc uczucia wielkiej pustki ogarniającej człowieka, gdy jego miłość nie spotyka się z wzajemnością. Przejmował ją strach o przyszłość i pod wpływem tego strachu pracowała ciężiej niż kiedykolwiek. Tak mijał czas.

Dwa tygodnie później otrzymała z banku wiadomość, że wyrażono zgodę na udostępnienie jej pieniędzy. Miała je otrzymać natychmiast, gdy tylko wypełni i odeśle załączone formularze.

Jeszcze tego samego popołudnia, mimo ostrzeżeń Bidy, że zbiera się na burzę, poszła do miasteczka, by odesłać druki. Wracając z Port Withian była niezmiernie z siebie dumna. Wszystko załatwiła pomyślnie i już nie będzie dla Matthew ciężarem.

Gdy wspinała się na cypel, wiał silny wiatr i, mimo że niebo było ciągle niebieskie, na morzu pojawiły się już groźne fale. Pomyślała, że burza, zapowiadana przez Bidy, nadejdzie z pewnością przed wieczorem.

W połowie drogi zeszła na bok, ponieważ usłyszała za sobą samochód. Samochód minął ją wolno, a potem zatrzymał się nieoczekiwanie. Z otwartego okienka wyjrzała uśmiechnięta twarz Brada Corwina.

- Zagubiona i samotna? - spytał, patrząc na nią zalotnie.

- Ani jedno, ani drugie. Byłam na poczcie w Port Withian.

- Dawno nie byłaś u nas na kolacji - przypomniał.

- Matthew jest teraz w Londynie, a mnie w zupełności wystarcza kuchnia Bidy - powiedziała mało uprzejmie, chcąc jak najszybciej zakończyć konwersację i uwolnić się od niemiłego towarzystwa.

- A więc jesteś teraz w Trembath sama? - ożywił się wyraźnie.

- Oczywiście, że nie - odparła bardzo szybko. - Bidy ze mną mieszka.

- Szkoda, że mnie nie powiadomiłaś. Zabrałbym cię na przejażdżkę.

- Jestem bardzo zajęta - powiedziała zimno. - Teraz też już muszę iść.

Mam mnóstwo pracy.

- Wskakuj, odwiozę cię! - rzucił wesoło.

Nie podobał jej się wyraz oczu Brada Corwina. A poza tym, w jakim celu jechał drogą, która wiodła tylko na wrzosowiska? Czyżby zauważył ją w miasteczku i celowo za nią podążył?

- Och, przechadzka dobrze mi robi - odparła z wahaniem, siląc się na uprzejmy uśmiech, ale jak na złość w tym samym momencie spadły pierwsze krople deszczu; Sophie zrozumiała, że nie wykreści się od towarzystwa Brada.

- Przemokniesz do suchej nitki! - zachęcił. - Wsiadaj, a będziesz w domu za kilka chwil.

Nie miała wyjścia... A może w stosunku do Brada Corwina zachowywała się paranoicznie? Przecież nic złego nie mogło jej się stać w biały dzień i tak blisko domu! Nie kryjąc niechęci, wsiadła w końcu do samochodu.

Brad Corwin skwitował malującą się na jej twarzy rozterkę ironicznym uśmiechem. Po kilku zaledwie minutach byli przed domem. Brad zatrzymał się daleko przed wejściem i wyłączył silnik. Mimo że deszcz lał teraz jak z cebra, Sophie od razu nacisnęła klamkę.

- Poczekaj chwilę - poprosił. - Posiedźmy i porozmawiajmy. - Pochylił się ku niej, a ona wcisnęła się w fotel jak mogła najgłębiej, nie puszczać klamki.

- Naprawdę nie mam czasu - zaczęła, lecz Brad wybuchnął śmiechem.

- Na przyjemności czas można zawsze znaleźć - powiedział, obejmując ją ramieniem, a ona zrozumiała, że jeśli natychmiast nie wykona jakiegoś ruchu, znajdzie się w pułapce bez wyjścia.

Nie wiedziała, jakie Brad Corwin ma wobec niej zamiary, ale nie miała ochoty czekać, aby się dowiedzieć. Otworzyła drzwi i prawie upadła na ziemię.

- Sophie, zaczekaj! - krzyknął, wypadł za nią i chwycił ją za ramię.

Była bliska paniki. Odepchnęła go mocno, z całej siły.

- Ty idiotko! - burknął zawiedziony. - Nie udawaj takiego niewiniątka!

Nagle pod dom podjechał jakiś samochód. Usłyszała pisk opon i odwróciła się z wyrazem ulgi na twarzy, ale zaraz zbieleła jak kreda. Z samochodu wysiadł Matthew i szedł ku nim energicznym krokiem; oczy jego ciskały błyskawice.

- Wejdz do domu! - rzucił ze złością. - Jesteś całkiem przemoczona!

- Zaproponowałem, że ją odwożę - powiedział Brad z szerokim uśmiechem na twarzy i posłał Sophie spojrzenie pełne najwyższego politowania.

Sophie zrozumiała w mig, że nie kto inny tylko Brad wyjdzie z tej sytuacji obronną ręką. Matthew uwierzy Bradowi... Gdy więc spostrzegła, jak

odwraca się do przyjaciela, zapewne by zamienić z nim kilka słów, nie bacząc na lejący deszcz, zawróciła sprzed domu i skręciła na ścieżkę wiodącą na plażę.

O Boże, i co Matthew sobie pomyśli? - rozważała z bijącym sercem. Pomyśli, że umówiła się z Bradem, a Brad wysunął daleko idące wnioski i... Brad wymyśli każde kłamstwo, byle tylko się z tego wywinąć, a Matthew da wiarę jego słowom!

Z pochyloną głową, aby uchronić się przed deszczem, mozolnie posuwała się po piasku, nie zwracając uwagi na ryk morza i coraz większe fale uderzające o brzeg. W głowie kłębiło jej się tysiące pytań. Dlaczego Matthew tak szybko wrócił? Przecież Pip miał przyjechać do domu dopiero za dwa tygodnie... Ale przede wszystkim wyobrażała sobie złość Matthew, kiedy usłyszy opowieść Brada. Znał Corwinów od bardzo dawna, nie miała wątpliwości, że uwierzy Bradowi i tylko ją będzie obwiniał!

Dopiero gdy fala obmyła jej stopy, przyszło opamiętanie. Rozejrzała się wokół i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zawędrowała dalej niż kiedykolwiek przedtem.

Zauważyła, że w górze sterczały wysokie, groźne skały i nigdzie nie widać było śladu ścieżki. Gdy się odwróciła, serce podeszło jej do gardła. Spieniona woda podchodziła pod same skały. Odwrót miała odcięty. Znalazła się w śmiertelnej pułapce.

Zaczęła biec przed siebie na oślep; piasek się skończył i pod stopami czuła śliskie kamienie. Biegła i biegła w zapadającym zmierzchu, coraz szybciej, coraz mniej ostrożnie, aż w końcu potknęła się o wystającą skałę i upadła. Próbowwała wstać, ale ból stopy był dotkliwy; na czworakach wypełzła z wody i oparła się o skalny występ. Wiedziała teraz, że już nigdzie dalej nie dojdzie. Nigdy już nie zobaczy Matthew... Podobnie jak jej babka - straci życie w morzu. Łzy rozpaczy ciekły jej po twarzy, mieszając się ze strugami deszczu. Trzęsła się z zimna i strachu, a ryk morza zdawał się zagłuszać jej myśli.

Gdy usłyszała, że ktoś w ciemności woła jej imię, w pierwszej chwili sądziła, że wyobraźnia płata jej figle. Wyteńczyła wzrok, i nagle aż podskoczyła ze zdziwienia i radości na widok Matthew, który biegł w jej kierunku. Chwilę później, gdy usiłowała wstać, chwycił ją mocno w ramiona.

- Sophie! - Przycisnął ją do siebie, przytulając policzek do mokrych włosów. - Dzięki Bogu, że doszłaś aż tutaj... Bidy widziała, jak schodzisz ścieżką wśród skał.

Ścisnął ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- Złapał mnie przyływ - wyjąkała z głową wtuloną w jego piersi. Była mokra, było jej zimno i nie mogła przestać się trząść.

- Przyływ nie dociera do samych skał - wyjaśnił, biorąc ją na ręce i zawracając. - Jeszcze kilka kroków i byłabyś bezpieczna. O, tutaj jest łatwa ścieżka wiodąca na górę - powiedział, podchodząc pod skały. - Przecież wiedziałas, że nadchodzi burza. Dlaczego tu zawędrowałaś?

- Nie wiem... - Wtuliła się w niego w poszukiwaniu ciepła i otuchy. - Myślałam, że będziesz na mnie zły...

- Głuptasku... - Przytulił ją mocniej do siebie. - Teraz jesteś już bezpieczna, kochanie.

Pierwszy raz w życiu usłyszała z ust Matthew to pieszczotliwe określenie. Powiedział do niej: kochanie... Pomimo zimnych dreszczy i obolałej nogi poczuła się nagle bardzo, bardzo szczęśliwa. Matthew wrócił i nic więcej nie miało znaczenia.

Niósł ją z taką łatwością, jakby nic nie ważyła. Gdy znaleźli się przed domem, obydwójce byli tak przemoknięci, że na pewno nie znaleziono by na nich ani jednej suchej nitki.

Bidy z niepokojem w oczach oczekiwała na nich w otwartych drzwiach.

- Wszystko w porządku? - spytała zatroskanym głosem, a Matthew przytaknął.

- Chyba tylko skręciła nogę w kostce - powiedział. - Zaparz gorącej herbaty, Bidy. Potem możesz wracać do siebie. Zostaję w domu.

- Dam sobie radę sama... - odezwała się Sophie, widząc, że Matthew wnosi ją na schody.

- Weź teraz gorący prysznic, a później porozmawiamy o „dawaniu sobie rady” - powiedział tylko, wnosząc ją do pokoju. - Przyniosę ci herbatę - dodał, ostrożnie stawiając ją na podłodze. - Naprawdę dasz sobie radę?

- Oczywiście - odrzekła, szczerze wzruszona troską, jaką dosłyszała w jego głosie.

Gdy wyszedł z pokoju, wolno pokuśtykała do łazienki. W ferworze ostatnich zdarzeń całkiem zapomniała o Bradzie Corwinie, teraz jednak znów stanęła jej przed oczami jego uśmiechnięta, bezczelna twarz. Matthew na pewno wróci do tej sprawy, będzie się złościł i robił jej wymówki. Co mu powie? Jak wytłumaczy swe zachowanie? Ciekawa była, jak Brad się tłumaczył... i co nakłamał.

Ciepła woda podziałała jak balsam na jej zziębnięte ciało.

Gdy wróciła do pokoju, okręcając po drodze włosy w ręcznik, Matthew już czekał z herbatą. On również zdążył wziąć prysznic i się przebrać.

Sophie owinęła się szelkierem i przysiadła na brzegu łóżka. Lękała się spojrzeć mu w twarz, podniosła więc filiżankę do ust i wolno sączyła herbatę.

- W porządku? - spytał cicho, a gdy po prostu skinęła głową, ukląkł przy niej. - Pozwól, że obejrzę kostkę - powiedział i, nim zdążyła zaprotestować, już trzymał jej stopę w dłoni.

Skóra jej zareagowała na dotyk jego delikatnych palców jak na erotyczny sygnał.

- Już tak nie boli - powiedziała zduszonym głosem, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. - Poślizgnęłam się na mokrej skale.

Popatrzył na nią przeciągle i wreszcie wypowiedział słowa, których tak bardzo się obawiała.

- A teraz opowiedz mi o tej historii z Bradem Corwinem - nakazał cicho, a potem, gdy mówiła, przyglądał jej się uważnie. W kąciку ust drgał mu od czasu do czasu jakiś nerw.

- To prawda - zapewniała gorączkowo. - Nie wiem, co on ci naopowiadał, ale ja powiedziałam całą prawdę.

- Nie miał szansy nic mi opowiedzieć. Znam go zbyt dobrze, bym chciał tracić czas na słuchanie jego głodnych kawalków. - Wstał i zaczął niecierpliwie przechadzać się po pokoju. - W każdym razie liczy się tylko twoje bezpieczeństwo. Zapamiętaj więc, że z Bradem Corwinem nigdy nie będziesz bezpieczna!

- Myślałam... myślałam, że jesteście przyjaciółmi - wymamrotała.

- Powiedz raczej, że podejrzewałaś Eve i mnie o romans - powiedział ironicznie i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Brad ugania się za każdą kobietą, która pojawi się w polu jego widzenia. Eve zaczęła więc mnie kokietować, żeby mu dokuczyć. - Westchnął i popatrzył w jej oczy szeroko otwarte ze zdziwienia. - Nie martw się, nie skorzystałem z jej szczodrej propozycji - zapewnił z poważną miną. - I nie patrz na mnie w ten sposób. Pozwoliłem Eve udawać, ale to zdaje się w niczym nie wpłynęło na zachowanie Brada.

- Nie wiedziałam... - Sophie usiłowała się usprawiedliwić. - Chyba nie byłam dla niej zbyt miła...

- Pewnie w ogóle tego nie zauważyła - pocieszył ją. - Poza tym ona też nie zachowywała się w stosunku do ciebie uprzejmie. Nie podobało jej się, że u mnie mieszkasz. - Znów zaczął chodzić po pokoju. - Zauważyła, że nie spuszcza z ciebie wzroku.

- Z pewnością nie wiedziała, że podobam ci się tylko dlatego, że przypominam swoją babkę - powiedziała szybko Sophie, chcąc pokryć zmieszanie.

- Co ty opowiadasz! - Matthew stanął jak wryty i wpatrywał się w nią oszołomiony. - Czy uważasz mnie za wariata? Twoja babka umarła, gdy byłem małym chłopcem. To, co teraz czuję do ciebie nie ma nic wspólnego z Margaret Trevelyan!

- Po prostu myślałam... - Umilkła i cała drżąc, podniosła się z łóżka. Matthew nie dał jej szansy zrobić nawet kroku. Podskoczył ku niej i chwycił ją za ramiona.

- Lepiej zaufaj własnym zmysłom, Sophie - powiedział napiętym głosem. - Doskonale wiesz, dlaczego musiałem wyjechać.

- Ale wróciłeś. - Gdy nań spojrzała, zatoneła w jego bursztynowych oczach.

- Wpadłem na krótko. Wszystkie swoje rzeczy zostawiłem w Londynie. - Pieszczotliwym ruchem pogłaskał jej ramiona.

- Nawet jeśli to nie ma sensu, pragnę cię, Sophie - zakończył.

- Dziś wieczór myślałem, że cię straciłem.

- Przepraszam, że tak cię przeraziłam - wyszeptała. Gdy zobaczyła jego bladą, zmęczoną twarz, w jej oczach zabłyśły łzy.

- Jestem przerażony tym, co czuję do ciebie, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy - powiedział, rozchylając szlafrok i przesuując dłońmi po jedwabistej skórze jej ramion. - Zbyt młoda, zbyt żywa i w dodatku córka Quentina! Powinienem być od razu wysłać cię z powrotem do Londynu... Nawet się nad tym zastanawiałem, ale pragnienie patrzenia na ciebie zwyciężyło. Wkrótce nie mogłem się na ciebie napatrzeć. Potrzebuję cię, Sophie. Pragnę zbyt gorąco, bym mógł z tym walczyć.

Odchylił jej ciało do tyłu i zatopił wargi w jej ustach. Natychmiast przytuliła się do niego. Ona również go pragnęła. Nigdy przedtem nie

odczuwała tak silnego podniecenia i była wstrząśnięta gwałtownością własnych reakcji.

Gdy zrzucił z niej szlafrok i przylgnął ustami do jej nagiego ciała, przeniknęła ją fala rozkosznego gorąca. A kiedy poczuła delikatną pieśczętę jego palców na swoich piersiach, wydała słaby jęk ni to rozkoszy, ni zniecierpliwienia.

- Mój Boże! - szepnął, odsuwając ją na chwilę od siebie i wodząc po jej nagim ciele zachwyconym wzrokiem. - Jaka ty jesteś piękna! - A potem zwinnym ruchem ściągnął przez głowę sweter i przycisnął Sophie do swej owłosionej piersi. - Nic mnie już nie powstrzyma, kochanie - powiedział. - Już za późno...

Usta jego stawały się coraz twardsze, coraz bardziej pożądlive, zdawało się, że zmiażdży ją w swych potężnych ramionach. Wreszcie uniósł ją w górę i mocno objęci oboje opadli na łóżko.

- Sophie - powiedział drżącym głosem, gdy pokrywała jego ciało szalonymi pocałunkami. - Sophie, zaczekaj... Nie chcę sprawić ci bólu...

- Tak, proszę! Teraz! - błagała. - Proszę, Matthew! Kochaj mnie albo umrę...

Krzyknęła gwałtownie, a potem cały pokój zawirował wokół niej, zdawało jej się, że przenosi się wraz z Matthew do jakiegoś innego wymiaru - w ciemność miękką, kołującą, ogarniającą wszystko. Jak przez mgłę słyszała, że Matthew oddycha ciężko, obezwładniony taką samą jak ona rozkoszą.

Zatopili się obydwój w cudownym spokoju, i dopiero po dłuższej chwili Sophie zdała sobie sprawę, że nadal obejmuje go nogami, on zaś leży wtulony w nią, trzymając twarz na jej piersiach. Łzy, przepelniające jej oczy, spłynęły po policzkach. Matthew uniósł głowę, delikatnie zsunął się z niej i tuląc ją w ramionach, pozwalał jej się wypłakać na jego piersi.

- Przepraszam - wymamrotała, gdy opanowała szloch. - To wcale nie dlatego, że... Chodzi o to...

- To był twój pierwszy raz - powiedział łagodnie.

To nie tylko to, chciała zaprotestować, ale zabrakło jej słów. Wiedziała, że kocha go bardziej, niż zdolna to była wyrazić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sophie zasnęła przy świetle lampy, Matthew zaś otuliwszy ją ramionami, długo jeszcze jej się przyglądał z wyrazem smutku na twarzy.

Gdy obudziła się wczesnym rankiem, Matthew już przy niej nie było. Promienie słoneczne wpadały przez okno, a ona leżała, starając się uporządkować bezładne wrażenia. W głębi duszy czuła się nieszczęśliwa, zrozumiała bowiem, że Matthew jej pożądał - pożądał i nic więcej. Domyśliła się, że nadal żył wspomnieniem miłości do Delphine - i świadomość tego faktu stała się teraz dla niej nie do zniesienia. Właśnie z tego powodu nie mogłaby z nim zostać, nawet gdyby ją o to poprosił, mimo że kochała go teraz bardziej niż kogokolwiek w swym życiu.

Zeszła na dół, starając się robić dobrą minę do złej gry. Gdy weszła do kuchni, Matthew spojrzał na nią przenikliwie. Oczy miał podkrążone, jakby pociemniałe z bólu. Tego się właśnie spodziewała - z pewnością żałował swego nie kontrolowanego zachowania ostatniej nocy. Uzbroiła się w męstwo i rzuciła niemal radośnie:

- Czyżbyśmy wstali zbyt wcześnie jak dla Biddy?
- Biddy dziś nie przyjdzie - poinformował. - Jest przeziębiona.
- Jakże to niesprawiedliwe! - Starła się, by głos jej brzmiał beztrąsko. -

Przecież to my przemokliśmy, prawda?

Popatrzył na nią znów i uśmiechnął się blado. Chyba był jej wdzięczny za tę beztrąską paplaninę... Właściwie... jak zachowują się kochankowie po spędzeniu namiętnej, miłosnej nocy? - zastanawiała się gorączkowo.

- Zrobiłem śniadanie - powiedział, stawiając przed nią herbatę i grzanki. -
Jeśli Biddy szybko nie wydobrzeje, będziemy musieli zabrać się za gotowanie.

- Potrafię gotować - zapewniła ochoczo, nalewając herbatę do filiżanek. -
Ale, jak wiesz, nie zabawię tu długo... Bank niebawem przekaże pieniądze na
moje konto.

Matthew milczał, ona zaś nie odważyła się podnieść na niego oczu.

- Suma przez ten czas znacznie urosła - ciągnęła. - Nie spodziewałam się,
że jest tak duża... W każdym razie postanowiłam wrócić do Londynu od razu.
To znaczy wyjadę dzisiaj...

- Skąd ten pośpiech? - zapytał opryskliwie.

- Obydwoje wiemy, że sprawy... - Urwała niepewnie, nagle tracąc rezon.

- Możesz mieszkać w moim domu - powiedział, ignorując jej ostatnie
słowa.

- Nie! - Potrząsnęła głową. - Nie chcę w żaden sposób być...

- ...związana ze mną? - dopowiedział z goryczą.

- Byłoby lepiej, gdybyś pozwolił mi kończyć wypowiedzi -
zniecierpliwiła się. Przecież robiła to również dla niego! Zrozumiała, że żałował
ostatniej nocy. Dlaczego jej to utrudniał? - Miałam zamiar powiedzieć -
dokończyła stanowczo - że nie chcę, byś nadal czuł się za mnie odpowiedzialny.
Jestem już dorosła.

- Och, zauważyłem. Po wczorajszej nocy nie mogę mieć co do tego
najmniejszych wątpliwości. - Przesuwał po niej oczami lśniącymi jak dwa
bursztyny. - Wielki to dla mnie zaszczyt zostać twoim pierwszym kochankiem. I
któż będzie następny? Czyżby Andrew?

- Przestań - wykrztusiła z trudem. Sprawiał jej taki ból, że najchętniej
zerwałaby się z miejsca i uciekła na górę. Ale musiała przez to przejść. -
Myślałam, że zrozumiesz... Chcę studiować. Powiedziałam ci już, że mam plany
na przyszłość i nie chcę być dla ciebie ciężarem. Uwolnię cię od siebie i
pozwolę ci żyć po swojemu.

- Doceniam twą troskliwość - uciał krótko. - Mam cię zawieźć do Londynu? - Przerwał śniadanie i wstał.

Sophie wstała również; nie mogła usiedzieć ani minuty dłużej.

- Wezmę taksówkę ze stacji. Gdy znajdę mieszkanie, wyślesz mi rzeczy.

- A co zrobisz zaraz po przyjeździe? - spytał zaczepnie.

- Przyjmę propozycję Patricka... - powiedziała cicho.

Stał bez ruchu i patrzył na nią dłuższy czas; widać było, jak złość mu mija, a twarz z powrotem przybiera smutny wyraz. W końcu uśmiechnął się lekko.

- Jesteś mądrą kobietą, Sophie - przyznał. - Z nas dwojga masz więcej zdrowego rozsądku. Mną zawładnęły uczucia, a ty otrząsnęłaś się z nich jak ze złego snu. Na tym właśnie polega młodość.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni. Słyszała, jak zamyka za sobą drzwi do gabinetu. Nie zatrzasnął ich z hukiem - i to ją zaniepokoiło. Odniosła wrażenie, że go zraniła - odkryła jego słaby punkt i zadała śmiertelny cios. Pobiegła do siebie na górę i przez kwadrans płakała w bezsilnej rozpacz. Całe szczęście, że opanowała się przy Matthew... Matthew nigdy się nie dowie, ile kosztowała ją ta rozmowa...

Jakiś czas później, gdy już się uspokoiła, spakowała niezbędne rzeczy i zadzwoniła po taksówkę. Pozostało najtrudniejsze - pożegnanie.

Robiąc staranny makijaż, by zatuszować ślady łez, z goryczą myślała o Pipie. Chłopiec przyjedzie do Trembath i będzie za nią tęsknić... Och, pozostawiała za sobą tyle nie załatwionych spraw! A może Matthew przemyśli jej słowa i sprowadzi syna do domu? Chciała w to wierzyć.

Gdy usłyszała nadjeżdżającą taksówkę, zniosła na dół walizki i ustawiła je przy drzwiach. Wahala się tylko chwilę. Drżącą ręką zapukała do gabinetu i nie czekając na odpowiedź, weszła. Matthew siedział nieruchomo przy biurku i spoglądał w przestrzeń. Spodziewała się, że obrzuci ją poirytowanym spojrzeniem, on jednak tylko wstał i na nią patrzył.

- Taksówka przyjechała - powiedziała z wyraźnym wysiłkiem. - Dziękuję za wszystko... - Odwróciła się szybko w stronę drzwi, czując, że nie zniesie dłużej tego uporczywego, badawczego spojrzenia.

- Sophie! - Głos Matthew zatrzymał ją na progu. - Mam tylko jedną prośbę... Nim wyjedziesz, wypowiedz jeszcze raz moje imię tym swoim zduszonym głosem.

Pomyślała, że z niej drwi i odwróciła ku niemu twarz zalaną łzami.

- Och, Matthew - szepnęła i wybiegła z domu.

Po raz ostatni jechała podjazdem, po raz ostatni słyszała szum morza. Nie obejrzała się nawet, ponieważ nie zniosłaby widoku Trembath. Nigdy go już nie zobaczy. Nigdy nie zobaczy Matthew...

Na stacji dowiedziała się, że pociąg ma opóźnienie. Stała na peronie, porywisty wiatr rozwiewał jej włosy, ale nie zwracała na nic uwagi, ponieważ przed oczami miała twarz Matthew, gdy prosił, by wypowiedziała jego imię... Spodziewała się drwiny, sardonicznie uniesionych brwi - ale było całkiem inaczej... Och, Boże! Ten nieprzytomny wyraz jego oczu, jakby został śmiertelnie ugodzony! Tego wówczas nie zauważyła, zbyt była zdenerwowana. Czyżby go zraniła? Naprawdę głęboko zraniła?

Dręczona poczuciem winy, w panice, podbiegła do kasy, żeby zapytać o taksówkę. Musiała wrócić. Musiała natychmiast wrócić i dowiedzieć się prawdy...

- Kierowca pojechał na śniadanie, panienko.

- Ale ja muszę wrócić do Trembath! - zawołała żałośnie.

- Wystarczy trochę poczekać...

- Pójdę pieszo - przerwała. - Proszę przypilnować moich bagaży.

- To długa droga. - Kasjer popatrzył na nią z powątpiewaniem. Widząc jej rozgorączkowane spojrzenie, zrezygnował z perswazji, wyjął kartkę papieru i narysował mapkę. - Oto skrót - poinformował. - Omija miasteczko.

Podziękowała za informację i wyruszyła w drogę. Była zbyt podniecona, by zwlekać choć sekundę dłużej. Ostatniej nocy Matthew powiedział, że jej potrzebuje... Czy mówił prawdę? Odtwarzała teraz każdy epizod, który wydarzył się podczas jej pobytu w Trembath, każdy fragment rozmowy...

Wielokrotnie odnosiła wrażenie, że rodzi się między nimi prawdziwe uczucie... Za każdym jednak razem Matthew wycofywał się w ostatniej chwili. W Londynie był zazdrosny o Andrew, zachowywał się władczo i protekcyjnie - a jednak wycofał się, zrezygnował. Dopiero wczoraj, przerażony, że zginęła w morzu, dał upust emocjom. A teraz czuł się winny, ponieważ była od niego dużo młodsza, przede wszystkim zaś - była córką Quentina!

Gdy wspięła się na ostatni pagórek i zobaczyła w dole Trembath, ogarnął ją względny spokój. Dom! Tam właśnie wracała. Do domu... I nagle wstąpiła w nią pewność siebie i nowe siły. Szła szybko, coraz szybciej, ale droga wydawała jej się bardzo długa. Zaczęła biec.

Od strony wrzosowisk do tylnego ogrodu prowadziła mała furtką. Przebiegła przez nią i dotarła do kuchennych drzwi. Naciskając klamkę, modliła się, by nie były zamknięte... Wpadła do kuchni z rozwianym włosiem, jakby ścigały ją demony.

Matthew, który właśnie parzył herbatę, spojrzał na nią, nie wierząc własnym oczom.

- Sophie? - powiedział ochryple. - Nie słyszałem taksówki...

- Przyszłam pieszo... przez wrzosowiska - odparła zdyszana. Drżała z wysiłku i emocji, a gdy spojrzała w jego bladą, wyczerpaną twarz, do oczu napłynęły jej łzy.

- Zapomniałaś czego? - zapytał z rezerwą.

- Zapomniałam ciebie! - zawołała. - Nie potrafię wyjechać, Matthew. Nawet jeśli nie chcesz, bym tu była, proszę, pozwól mi zostać...

Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem, a on patrzył na nią pociemniałymi oczami i ani drgnął.

- Boję się uwierzyć, że to prawda - rzekł cicho. - Dziś rano otrzymałem bolesny cios... Nie zniósłbym tego raz jeszcze. Uspokój się, Sophie, i wyjaśnij, o co chodzi.

- Chcę z tobą zostać - szepnęła wystraszona, że popełnia błąd. - Nie chcę mieszkać gdzie indziej. Nigdzie nie będę szczęśliwa...

- To ten dom - westchnął poirytowany. - To ten przeklęty dom ściągnął cię tu z powrotem!

- To nie dom, Matthew - zaprzeczyła z ożywieniem. - Co mnie obchodzi dom, jeśli ciebie w nim nie będzie! Czy myślisz, że wobec innych mężczyzn zachowuję się tak, jak zachowałam się wobec ciebie dziś w nocy? Czy myślisz, że każdemu rzucam się na szyję?

Opamiętała się, widząc, że Matthew uśmiecha się do niej czule, a wyraz straszliwego napięcia zaczyna powoli znikać mu z twarzy.

- Mów jeszcze, Sophie - szepnął. - Mógłbym tak stać i słuchać cię całą wieczność.

- Kocham cię, Matthew - wyznała wreszcie, a on w dwóch susach znalazł się przy niej, objął ją ramieniem i przycisnął do siebie.

- Co zrobiłaś ze swoim bagażem? - spytał w przerwie między jednym pocałunkiem a drugim. - Dlaczego przyszyłaś piechotę?

- Przybiegłam - sprostowała. - Zostawiłam wszystko na stacji i przybiegłam, ponieważ nie mogłam znieść myśli, że cię zraniłam.

- To prawda - przyznał. - Ostatniej nocy, gdy już usnęłaś, bardzo długo ci się przyglądałem. Wyglądałaś tak młodo, tak niewinnie, że ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Miałem wrażenie, że zmuszam cię do porzucenia twoich planów i marzeń, że zmuszam cię do wyrzeczeń... A poza tym ciągle pamiętałem, że jesteś córką Quentina...

- Jestem Sophie Grant! - przerwała mu gwałtownie. - Jestem sobą! Całe życie byłam sama, nawet wówczas, gdy ojciec żył... A teraz chcę być kochana. I chcę ciebie!

- Och, Sophie, najdroższa, przecież mnie masz. Masz mnie od pierwszej chwili, gdy przekroczyłaś próg tego domu. - Przelotnie musnął jej usta i znów się uśmiechnął. - Mimo poczucia winy i mimo doznanego ciosu, siedziałem tu i rozmyślałem, jak ciebie szybko odzyskać.

- Naprawdę? - Twarz jej pojaśniała ze szczęścia.

- Sophie, kochanie, nie mogę przecież długo wytrzymać bez ciebie. Czyż to nie oczywiste? Ciągle marzę o jednym, by cię dotykać i pieścić. - Uniósł ją w ramionach. - Może pohamuję się do czasu, aż wrócimy z twoim bagażem, ale potem nic nie mogę obiecać.

- Nawet nie próbuj - powiedziała z udawaną skromnością.

Po południu znów rozpętała się burza, ale Sophie była nią zachwycona. W ramionach Matthew czuła się bezpieczna i szczęśliwa.

- Kocham cię - wyszeptał po raz nie wiadomo który, a ona odsunęła się na chwilę i popatrzyła nań poważnym wzrokiem.

- Nie musisz, Matthew - powiedziała. - Będę szczęśliwa, mogąc kochać ciebie. A może pewnego dnia, gdy twoje uczucie do Delphine zblednie...

- Delphine?! - Uniósł się z nagłym błyskiem w oczach i odepchnął ją od siebie. - Dlaczego ona musiała wejść pomiędzy nas? - Na widok oszołomionej twarzy Sophie, opanował się nieco i złagodniał. - Och, dlaczego wspomniałaś o Delphine? - spytał, wzdychając. - Nigdy przecież o niej nie mówię.

- Ale o niej myślisz - wtrąciła cicho. - Dlatego właśnie próbowałam odejść. Obawiałam się, że nie zniosę innej kobiety w twoich myślach. Za każdym razem, gdy byłeś smutny, wiedziałam, że myślisz o Delphine...

Nachylił się nad nią i mocno ujął w dłonie jej twarz.

- Chcesz powiedzieć, że z jej powodu mogłem cię utracić? - zapytał oszołomiony. - Sądziłaś, że nadal kocham Delphine? Mój Boże! Sophie, ja

nigdy jej nie kochałem... - wyznał z cichym westchnieniem. - I nawet przez moment nie rozpaczałem, gdy odeszła...

- Och! - jęknęła tylko. - A ja myślałam, że wysłałeś Pipa do szkoły z internatem tylko dlatego, że przypomina tak bardzo Delphine, i gdy go widzisz czujesz się jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

- Wygląda więc na to, że będę musiał tłumaczyć ci każdą moją myśl. - Popatrzył na nią z udawaną dezaprobatą. - Nie jesteś dobrym psychologiem, Sophie... Gdy już weźmiemy ślub - nagle roześmiał się - każdego poranka będę ci relacjonował stan mego umysłu i stan mych uczuć do ciebie, zgoda?

- Weźmiemy ślub? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak szybko, jak tylko uda się to załatwić. - Obsypał jej twarz pocałunkami. - Nie mogę spuścić cię ani na chwilę z oczu. Nawet nie wiem, czy będę mógł wypuścić cię ze swoich objęć... Kilka chwil później, nadal trzymając ją w ramionach, odezwał się poważnym tonem:

- Wiesz, chyba powinienem jak najszybciej powiedzieć ci prawdę o Delphine... Ale to będzie dłuższa opowieść. Czy chcesz teraz posłuchać? - Sophie w milczeniu poważnie skinęła głową. - Jak zapewne pamiętasz była olśniewającą kobietą...

- Była piękna - szepnęła Sophie.

- Olśniewająca - powtórzył z uporem. - Ty jesteś piękna, moje kochanie. Jesteś pełna ciepła, serdeczna i kochająca... Posiadasz cechy, o których Delphine nie miała pojęcia. Interesowała się wyłącznie sobą. Innych ludzi w ogóle nie zauważała. Gdy zacząłem się z nią spotykać, oboje mieszkaliśmy w Londynie. Pociągała mnie, owszem, ale nigdy nie zaangażowałem się głębiej - dodał kwaśno. - I nagle pojawił się Quentin. Spotkaliśmy się razem raz czy dwa i Quentin w okamgnieniu wpadł w jej sidła.

- Tato? - wyjąkała zaskoczona.

- Chyba go nigdy naprawdę nie znałaś, kochanie. Nie miałaś szansy go poznać. Twoja matka wysłała cię do szkół, ponieważ musiała mieć czas na

robiecie własnej kariery. Była samolubną kobietą, przede wszystkim zaś - naukowcem... Ale wracając do Delphine... Stała się dla Quentina swego rodzaju odskocznią od nie kończących się, naukowych dyskusji z Iris. Lubiła zabawy i seks... Wstyd przyznać, ale odstąpiłem ją Quentinowi bez żalu. Przynajmniej podczas urlopu zaznał trochę radości.

- Nie mogę uwierzyć, że Delphine porzuciła cię dla taty - wtrąciła Sophie.

- On... on był taki zwyczajny...

- Rozumiem, że to miał być komplement. - Roześmiał się, szczerze ubawiony. - Nie zapominaj, że wówczas byłem młodym, przeciętnym dziennikarzem, w dodatku słabo opłacanym,

Quentin zaś profesorem archeologii. Miał status zawodowy, pozycję finansową i z pewnością stał u progu wielkiej naukowej kariery. Twój ojciec był niezwykle uzdolniony i cieszył się wielkim szacunkiem w środowisku naukowym. Ale sprawy skomplikowały się niebezpiecznie, gdy pewnego dnia Delphine oznajmiła, że jest w ciąży.

- Pip? - rzuciła wystraszona, a Matthew przytaknął.

- Tak. Powiedziała o tym mnie, a nie Quentinowi. Zrozumiałem, że opracowała plan i zaczęła wcielać go w życie. Oświadczyła, że to dziecko Quentina. Zagroziła, że jeśli Quentin się z nią nie ożeni, powiadomi brukową prasę. Wspomniała słodkim głosem, że powinienem najlepiej wiedzieć, co zrobić z tym dziennikarzem. Och, Boże, miałem wówczas ochotę ją zabić. Wiedziałem przecież, że miała wielu kochanków i nie było pewności, czyje naprawdę jest to dziecko.

- Czy mój ojciec o tym wiedział?

- Tak. Był zaskoczony. Wyznał mi, że nigdy nie spał z Delphine. Po prostu romansowali, wychodzili razem... Uwierzyłem mu, ale płonne nadzieje, by uczynili to inni. Quentin nie mógł pozwolić sobie na skandal. W owym czasie jego prace badawcze finansowały dwa uniwersytety i w przypadku

najdrobniejszego skandalu gotowe były wstrzymać dotacje. Nawet jeśli by udowodnił swoją niewinność, jego reputacja ległaby w gruzach.

- I wtedy ty się z nią ożeniłeś - domyśliła się Sophie. - Och, Matthew, dlaczego? Jeśli jej nie kochałeś, zmarnowałeś sobie życie!

- Uważałem, że powinienem się poświęcić. Może czułem się trochę winny? W końcu to ja poznałem ich ze sobą. Poza tym wiele zawdzięczałem Quentinowi. Był moim ukochanym bratem; zawsze bronił mnie przed ojcem. Wiedziałem, że nie był szczęśliwy z Iris, a skandal ten odebrałby mu rzecz najcenniejszą - jego pracę. Tak czy owak, ożeniłem się z nią, choć nie zakładałem normalnego małżeństwa... Miałem Trembath i zamierzałem ulokować tam Delphine, samemu zaś pozostać w Londynie. Początkowo się udało. Zacząłem wówczas pisać i wkrótce odniosłem pierwszy sukces. Ale gdy urodził się Philip, wróciłem do Trembath, by wszystkiego dopilnować. Nie miałem do Delphine zaufania jako do matki... Powrót do Trembath okazał się moim najcięższym błędem. Delphine nie lubiła przegrywać i postanowiła ożywić nasze małżeństwo... Choć nie miałem na to ochoty, pokochałem dziecko i chciałem być blisko niego. Philip był takim cudownym, małym chłopczykiem... Poza tym szantażowała mnie. Groziła, że złoży zaprzysiężone oświadczenie dotyczące Quentina. Powiedziałem wówczas, że podam ją do sądu. Zaczynało mi się dobrze wieść finansowo i byłem gotów zaryzykować wszystko, byle tylko pozbyć się jej ze swego życia.

- I co się stało? - spytała Sophie z zapartym tchem.

- Doszło do straszliwej awantury. Wiele się przy okazji dowiedziałem. Powiedziała, że Philip nie jest dzieckiem Quentina, ale nawet jeśli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw, będzie za późno, by ocalić jego reputację. Nie znałem nikogo, kto potrafiłby się tak złośliwie śmiać... A potem wypadła z domu jak burza, krzycząc, że zemści się na mnie... Nawet nie usiłowała zabrać ze sobą Philipa, na co zresztą i tak bym jej nie pozwolił. Dzięki Bogu, że

pojechała bez dziecka, ponieważ na drodze wylotowej z Port Withian miała wypadek. Zginęła na miejscu.

Przez chwilę leżeli cicho, spleceni ramionami. Sophie rozmyślała o swoim życiu, o nieszczęśliwym losie swych rodziców. Teraz wreszcie zrozumiała, dlaczego matka miała taką lodowatą minę na weselu Matthew.

Jakie to ogromne poświęcenie z jego strony! Aż trudno było uwierzyć, że ojciec mu na to pozwolił. Wiedziała jednak, że archeologia była dla jej rodziców wszystkim - była ważniejsza niż ona sama, ważniejsza niż szczęście Matthew. Szczęście dwojga ludzi poświęcili dla spraw dawno minionych, przysypanych piaskiem historii... Nie mogła tego zrozumieć.

- Kocham cię! - zawołała. - Uważam, że postąpiłeś jak wariat, ale cię kocham!

- Czy mówisz tak głośno, żeby tę dobrą nowinę rozgłosić po świecie? - spytał, otrząsając się wreszcie z melancholii.

- Tak, chcę to rozgłosić wszem i wobec - odrzekła z pasją. - A jeśli ktokolwiek w życiu chciałby cię skrzywdzić...

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Oto mój anioł zemsty o płomienistych włosach! - powiedział rozbawiony. - Naprawdę czuję się przy tobie wyjątkowo bezpiecznie. Ale jeśli zechcesz przedsięwziąć jakieś kroki, poinformuj mnie łaskawie. Obawiam się, że możesz chwycić miecz z niewłaściwej strony...

- A więc Pip nie jest twoim synem... - powiedziała w zamyśleniu, gdy na moment przerwał serię dzikich pocałunków, którymi ją obsypał.

- Moje nazwisko figuruje w jego metryce - rzekł poważnie.

- W istocie to mój syn. Kocham go.

- Dlaczego więc wysłałeś go do szkoły z internatem?

- Ten dom był w rękach mojej rodziny od pokoleń, Sophie. Co prawda, zdjąłem ze ścian portrety, ale jeśli byś je obejrzała, z pewnością byś zauważyła niezwykle podobieństwo między mną a moimi przodkami po mieczu. Bez

względu na urodę żon kolejnych Trevelyanów mężczyźni w mojej rodzinie zawsze wyglądali tak samo: mieli kruczoczarne włosy...

- I bursztynowe oczy - dokończyła domyślnie. - Widziałam te portrety.

- A Philip jest jasny - podkreślił Matthew. - Bardzo jasny i to po prostu nie jest możliwe. Gdy tylko się urodził, całe Port Withian od razu zahuczało plotkami. W tych stronach ludzie mają dobrą pamięć, nie mogłem więc ryzykować, że jakieś dziecko z lokalnej szkoły zapyta go o ojca. Długo mieszkaliśmy w Ameryce i tam to nie miało znaczenia, ale po powrocie do Trembath wysłałem go do szkoły z internatem, z dala od sąsiadów strzępiących sobie języki.

- Ale on nie jest tam szczęśliwy - przypomniała.

- Wierzę ci, kochanie, ale chyba rozumiesz istotę problemu?

- Więc wyślij go do szkoły gdzieś w pobliżu, skąd mógłby codziennie wracać do domu. Nie musi to być lokalna szkoła w Port Withian.

- A jeśli ludzie i tak zaczną plotkować?

- A niech plotkują. W końcu kiedyś będziesz musiał powiedzieć mu prawdę. Oczywiście, przemilczysz prawdę o jego matce... Powiesz, że ją poślubiłeś, gdy była w ciąży, ponieważ ją kochałeś. Pip ciebie kocha, Matthew, i wie, że ty go również kochasz. To nie będzie dla niego szokiem.

- Być może uda mi się, jeśli ty tu będziesz...

- Mam zamiar zostać tu na zawsze - powiedziała, przytulając się do niego mocno.

- Jesteś bardzo mądra, kochanie. - Pocałował ją w czoło i uśmiechnął się z wyrazem szczęścia na twarzy.

- Nigdy w to nie wątpiłam.

- I jeszcze jedna sprawa - przypomniał. - Chyba będziesz musiała zwrócić pieniądze do banku, jeśli zrezygnujesz ze studiów.

- W ogóle o tym nie pomyślałam - zasepiła się. - Zamierzałam je wydać...

- Może jednak zechcesz pójść na uniwersytet? - spytał podchwytliwie.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - wymamrotała, całując go czule w usta. - Jestem szczęśliwa tu, gdzie teraz jestem.

- A więc ostatni problem został rozwiązany. Teraz możemy zająć się wreszcie naszymi sprawami - dodał, spoglądając na nią wymownie.

Sophie zgodziła się z rum z rozbijającą uległością.

Sophie, a za nią Pip, wyszli z domu i zaczęli schodzić w dół po schodach.

- Sam wszystkiego dopilnuję - zapewnił Pip. - Tato mówi, że za dużo biegasz. Mówi, że powinnaś więcej odpoczywać...

- Bzdura! - oświadczyła. - Wcale nie biegam i nie potrzebuję odpoczynku. Niemniej jednak - popatrzyła na jego rozczarowaną buzię - może masz rację. Leć do nich i dopilnuj prac.

Wynajęci ogrodnicy czekali na dole, przytrzymując dwa ogromne krzewy. Philip dołączył do nich i po chwili zniknęli w głębi ogrodu. Sophie patrzyła za nimi z uśmiechem. Wszystko szło zgodnie z planem. Na Wielkanoc Pip został wypisany ze szkoły z internatem i teraz uczęszczał do innej, bliżej domu, z czego był niezmiernie zadowolony.

- Widzę, że twój mały pomocnik dzielnie sobie radzi - powiedział Matthew, stając za Sophie i obejmując ją ramieniem. - Ale, jeśli wolno mi prosić, nie kupuj więcej krzewów. Wykopanie tych dołów niemal mnie zabiło.

Uśmiechnęła się pod nosem. Tutejszy stary ogrodnik stanowczo zaprotestował. Oświadczył, że wykopanie dołów pod tak ogromne krzewy - to za duży wysiłek jak na jego wiek. Ostatecznie pod jej baczny okiem wykopał je Matthew. W ogóle robił wszystko, o co go poprosiła. Nie zgodził się tylko nazywać Philipa - Pipem.

- Nie czujesz się zmęczona? - spytał, delikatnie kładąc dłoń na jej lekko powiększonym brzuchu.

- Ani trochę - zapewniła go. - Czwarty miesiąc ciąży to nie choroba. - Raptem zmarszczyła brwi na widok Pipa, który biegł ku nim z zaaferowaną twarzą.

- Sophie, oni są wściekli! - zawołał. - Mówią, że doły zostały wykopane w złym miejscu. Powinny znajdować się dwa metry od żywopłotu, ponieważ krzewy bardzo się rozrosną. O, już idą z tobą porozmawiać! - dodał, oglądając się za siebie.

- Zabierz ich do kuchni na herbatę i bułeczki - oświadczyła Sophie, wyzwalając się z objęć Matthew i znikając w środku domu.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? - rozmyślała w sypialni. Matthew nawet się nie uśmiechnął... Musiał być naprawdę zły... Trudno się zresztą dziwić, skoro tak długo go nagabywała, aż wreszcie przerwał pisanie i poszedł wykopać doły. Zupełnie nie pomyślała, że odległość od żywopłotu może być naprawdę istotna. W tej dziedzinie była przecież amatorką.

Matthew wszedł do sypialni, gdy z niepokojem wyglądała przez okno.

- Jestem pewna, że nie popełniłam aż tak wielkiego błędu - powiedziała, odwracając się do niego.

- Rzeczywiście, tylko półtora metra! - rzekł z wyrzutem.

- Och, Sophie, zupełnie oszalałem, skoro jestem dla ciebie taki miękki.

- Tak mi przykro... Ale co teraz zrobimy?

- Ogrodnicy naprawią twoje błędy i wykopią następne doły. Będzie to trochę kosztować, ale czego się nie robi dla tak uroczej pani domu, nieprawdaż?

Sophie była tak zakłopotana, że w końcu zaczął się głośno śmiać, przytulił ją do siebie i musnął wargami jej usta.

- Co ja bym zrobił, gdybyś była całkiem odpowiedzialna? - powiedział łagodnie. - Wszystko, co ciebie dotyczy jest takie rozbijające i zachwycające... Nie zmieniaj się, kochanie. Obiecuję, że będę z anielską cierpliwością naprawiał twoje błędy.

Przytuliła się do niego, wzdychając ze szczęścia. Matthew także był zachwycający; z każdym dniem bardziej go kochała.

- Tak się cieszę, że będziemy mieli dziecko - szepnął prosto do jej ucha.

- Teraz jesteś szczęśliwy w Trembath, prawda?

Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył jej prosto w oczy.

- Szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Ale miejsce zamieszkania nie ma znaczenia. Jestem szczęśliwy, ponieważ ty tu jesteś. - Uniósł ją w ramionach i delikatnie położył na łóżku. - Odpocznij teraz, Sophie Trevelyan.

Uśmiechnęła się słodko i zarzuciła mu ręce na szyję. Sophie Trevelyan... To brzmiało cudownie. A gdy spojrzała na portret babki wiszący na ścianie, odniosła wrażenie, że kobieta z portretu odwzajemnia jej uśmiech. Wszystko się dobrze skończyło. W murach Trembath znowu rozbrzmiewał śmiech. Matthew odnalazł spokój i szczęście, Sophie zaś odnalazła swój dom.

